

W 25-lecie wyzwolenia Warszawy zwróciliśmy się do zasłużonego tygodnika — „Stolicy” z prośbą o zorganizowanie dla nas artykułów mówiących o dniu wczorajszym, dzisiejszym i jutrzejszym tego miasta. Artykuły te zamieszczamy na stronie 6 i 7. Serdecznie dziękujemy za nie redakcji „Stolicy”.

Kamena

Rok założenia 1933

LUBLIN 18.I.1970. Nr 2 (435)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

Partykularz przestarzałych gustów

Maciej Podgórski

POSROD różnych przedsięwzięć, chcących popularyzować to lub owo, jednym z najszlachetniejszych wydaje mi się chęć upowszechniania literatury artystycznej. Ogólne liczbę, określającą produkcję książek oraz stan czytelnictwa w naszym kraju, budzą raczej optymizm. Ale czy fakt ten upoważnia do optymizmu totalnego, jeśli szło o kulturę literacką społeczeństwa? Lub tym bardziej jeśli szło o modelowanie tej kultury?

Przyjmijmy, że usunięte zostały rozmaite, częstokroć bardzo bolesne dolegliwości systemu księgarsko-bibliotecznego, choćby owe „białe plamy” w sieci placówek dysponujących książką na użytek przeciętnego obywatela. Bez tego założenia bowiem rozmowa o kształtowaniu masowego modelu kultury literackiej nie ma w ogóle sensu. Jeśli więc to przyjmujemy, stwierdzić wypada, że powszechne czytelnictwo opiera się u nas — oczywiście — na tzw. klasykach, czego w tej chwili nie oceniam, tylko przypominam.

Znane są różnice między liczbą wydań oraz nakładem dzieł „naszych realistów” (Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej...), a książek choćby autorów polskich, przelamujących konwencje i wizje świata XIX-wiecznej sztuki narracyjnej. Cóż znaczy, na przykład, 6-tyśięcna edycja „Wydarzenia” Leona Gomolickiego wobec, na przykład, 100-tysięcznych wznowień utworów Sienkiewicza? Przyjmijmy z kolei, że ten stan odzwierciedla realne zapotrzebowanie rynku, a więc świadczy o powszechnym guście literackim Polaków. Wszak na czym ma się opierać masowe czytelnictwo, jeśli nie na „klasykach”? Oczywiście. Sytuacja jest prawidłowa, lecz tylko do pewnych granic, masowe czytelnictwo bowiem nie może się na „klasykach” kończyć, a tak to u nas wygląda.

Ośmielam się twierdzić, iż wynika to nie z jakowejś, irracjonalnej zgody, niechęci przeciętnego odbiorcy do literatury współczesnej, ale z zasadniczych niedostatków systemu szkolnego i popularyzacyjnego, który szczególnie w tym przypadku miałby wiele do zrobienia, lecz który czyni bardzo mało. Prawie codziennie bowiem nadchodzą do redakcji listy od ludzi — pra-

Dokończenie na str. 5



Zenon Kononowicz

Phot. J. Urban

Sylwetkę malarza kreśli I. J. Kamiński na str. 3

Ze mną to nie to co Mańka zabić

Romuald Wiśniewski

OTU mu strzelił. Prosto w czoło. W sam środek. Z paru kroków. Mańka trzymał obie ręce w kieszeniach i nawet nie zdążył ich wyjąć, tylko tak z tymi rękami przewrócił się. Z przodu głowy miał małą dziurkę i trochę krwi, a z tyłu wielką ranę. Taki dobry chłopak i zginął. Jak sobie to przypomniał, nie wiem, co się ze mną dzieje.

Fudrak ma lzy w oczach. Zaczyna mi być przykro, że poruszyłem tę bolesną sprawę. Ale on nie ma mi tego za złe.

— Ja i tak o tym myślę codziennie. Trudno nie myśleć. Ja tu, a ten po drugiej stronie drogi. Ożenił się, ma dzieci, pobudował się. Mojego chłopaka zabił, a sam żyje i dobrze mu się powodzi. Z początku to nawet zaczął przychodzić aby pogadać z ludźmi, którzy się u mnie zbierają. Ale ja go...

Tu z ludźmi gada się łatwo. Nie trzeba zapoznawać się, przedstawiać. Zachował się stary polski obyczaj pozdrawiania wszystkich spotkanych. Kiedy idę przez wieś, każdy, kogo mijam, mówi mi: „dzień dobry”. Z początku to zaskakuje, ale już po 100 czy 200 metrach łapię ten szyk, kłaniam się starszym ode mnie i kobietom oraz przyjmuję normalnie, że młodszy o raz dzieci kłaniają się mnie. Dzień dobry — dzień dobry! Nie dlatego żem obcy, że to budzi ciekawość. Po prostu tak tu jest. Podchodzą do grupki mężczyzn, żeby o coś spytać, wszyscy podają mi ręce. Gdy siedzę u kogoś w chacie i wchodzi nowa osoba, mówi „pochwalony” i wita się z wszystkimi mężczyznami, także i ze mną, bez przedstawiania się, bez pytania, kim jestem. Dzieło się tym spostrzeżeniem z soltysem.

— Czyż to ważne, znajomy — nieznajomy? Chyba nie wróg? Człowiek, Polak, wystarczy — mówi soltys.

Dokończenie na str. 4

ECH, co za człowiek, ten Władimir Leontiewicz Biedula! Ze zwykłą miarą do niego nie podchodzi — nie będzie pasować. Z niezwykłą — też ani rusz. Biedula zachnie się, wzruszy ramionami, zakrzyczy swym wysokim, przechodzącym chwilami w falset, głosem: *Wot, wydzumał! Nieabynkownoennyj! Gieroi, znaczy, kakoj to, ili czudowiszczje iz zooparka, ili szto li? Aaa, żurnalisty, żurnalisty-litieratory! A ty piszy priamo: Biedula, priedsiedatel kalchoza „Sowietskaja Bielaruś”. Wot i wisio. Tu przewodniczący zachichocze przekornie, futrzaną czapę-uszankę przetrzuci nagle z cienia na czoło i spojrzy spod niej bystro — czeka na ripostę. Szutnik, o, szutnik, dowcipniś — powiadają jego złomkowie, śmieją się i kręcą głowami z uznaniem. Nigdy nie jesteś pewien czy żartuje, czy mówi serio. A w ogólnym rozrachunku — człowiek, znaczy się, poważny, zasadniczy. I znajdziesz dla takiego odpowiednią szuladę!*

Tak, Biedula zaskakuje na każdym kroku. Po prostu nie mieści się w ustalonych, czasem — spodziewanych schematach.

a teraz do budowy szkoły muzycznej się zabiera. Biedula on, znaczy się, tylko z nazwiska, bo ludziom żyje się tam niebiednie. Dziwny uam się może trochę wyda na pierwszy rzut oka — swoimi drogami chodzi, własne ścieżki wydeptuje. Ale tak też być musi. Natura jego szeroka...

tamy w kolechozie. Bez chleba i soli, ale za to z otwartym sercem. Uściskał mi dłoń z całej siły i kontynuował: *Biedula jestem, Władimir Leontiewicz, Urodzony czterdzieści dwa lata temu — o czym staram się zapomnieć — a dokładnie 25 kwietnia, co zawsze z dumą podkreślam. Bo 25 kwietnia, bra-*

nie odbiegając standardem od „zaplecza”, jakie można spotkać w eleganckich hotelach czy wielkomiejskich restauracjach.

Stalem przez chwilę trochę oszumlony i zaskoczony, a tymczasem gospodarz podparł się pod bok i powiedział z dumą: *Popatrz bracie uważnie, przyglądaj się. To jest*

le nie. Nie tylko warunki życia, ale i mentalność przesakują z dnia na dzień o trzy szczeble. Jeszcze niedawno wszystko było prościej. Znaczą się — kolektywizacja, elektryfikacja, odbudowa kraju po wojnie. Wiedzieliś czego ludzie od ciebie wymagają, co ty chcesz od nich. A dzisiaj? Nagle stykasz się z problemami i problemami, o jakich ani ci dotąd w głowie nie świtało.

Weź taki przykład: kolechoz jest bogaty, więc możemy sobie pozwolić na wysłanie naszych ludzi na Krym albo do Soczi na wczasy. Przedtem wyjeżdżający musi, ma się rozumieć, wypełniać różne papiery. No i wyobraź ty sobie, jedyna z tutejszych dziewcząt wypełnia ubiegłego lata formularz i natrafia na rubrykę — „stan cywilny”. Jako że jeszcze panna, wypełnia oczywiście — „diewuszka”. A po chwili zastanowienia chwytła za pióro i dodaje: „no, nie ocen”. Po polsku by się powiedziało: „panna, ale nie zupełnie”. I co ty na to? Kawał „szutka”, żart doskonały, boki zrywać, przyjaźniom przy wódecie opowiadać! A popatrzysz z drugiej strony — cały problem. Bo że dziewczynie plupio się napisało, to najmniej ważne. Rzecz w tym, że ani jej do głowy nie przyszło, iż czegoś takiego należy się wstydyć, ukrywać. A jeszcze kilkanaście lat temu, ho, ho! Znaczą mentalność, pewne poglądy się zmieniają u ludzi, a ty musisz zadumać się nad tym, rozważyć problem tak i siak, w planie działalności kulturalnej uoszlędnąć. I jak nigdy zdajesz sobie

Dokończenie na str. 8

Na wschód od Brzeźcia

Ech, co za człowiek!

Mirosław Derecki

No i Biedula, istotnie, zaczął w sposób nieutarty.

Kiedy redakcyjna „Wolga” zatrzymała się przed nowoczesnym, wielkim gmachem kolechozowego domu kultury, w drzwiach pojawił się sam przewodniczący. Bieglem szybko po stopniach, bo mróz był tego dnia tegi — na całej Białorusi notowano 25 stopni poniżej zera — a Biedula uśmiechał się szeroko i machał w mym kierunku swą futrzaną czapą, jak do starego znajomego. Potem zagadał szybko wysokim, trochę piskliwym głosem, tak nie licującym z jego masywną, prawie niedźwiedzią sylwetką: *Wi-*

cie, to także dzień urodzin Michala Szolochowa i tę datę nosi pierwszy numer „Komsomolskiej Prawdy”. A teraz chodźmy do wnętrza.

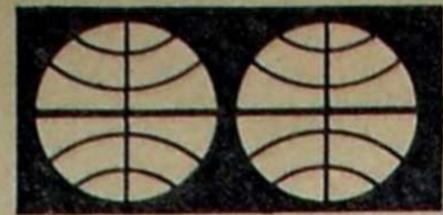
Zwiedzających jakiś obiekt, będący szczególnym powodem do chluby dla jego budowniczych, prowadzi się zwykle najpierw do miejsc najbardziej paradnych, wywołujących zamierzony efekt. Biedula oczywiście postąpił po swojemu. Szybkim krokiem minął hall, otworzył niewielkie drzwi — znaleźliśmy się... w męskiej toalecie.

Obażerne pomieszczenie wyłożone od podłogi do sufitu białą glazurą, lustra, umywalnie i... reszta. Całość

właśnie to miejsce, którym zawsze dotąd wieś najbardziej różniła się od miasta. Tobie się może wydaje śmieszne, że stąd zaczynamy zwiedzanie. A ja ci powiem tak: dla nas, mieszkańców wsi, nie sam telewizor czy radio, ale także ustęp z bieżącą wodą, to całkowity przezwrot w dotychczasowym sposobie życia. Tak, bracie, wieś nam się zmienia, traci dawne oblicze, zyskuje nowe, wszystko to leci jak reakcja lawinowa. I często sami już nie wiesz jak planować, jak z ludźmi rozmawiać.

W opole okazuje się, że niby ich znasz dobrze, a właściwie to uca-

Mówili mi w Brzeźciu tamtejsi dziennikarze: *Mirosławie Leonardowiczu, chcę zobaczyć kawał dobrej roboty na wsi białoruskiej — jedźcie do Bieduli. Wybierzcie się do kolechoz Sowietskaja Bielaruś, do Włodzimierza Leontiewicza. On ze wsi robi miasto, gdzie rosną chwały — dom kultury postawił,*



Kultura 1970

Zmarli

W Londynie Arthur Hedley, słynny muzykolog angielski, sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaciół Chopina, autor kilku opracowań o polskim kompozytorze.

75-letni reżyser filmowy Josef von Sternberg, odkrywca Marlene Dietrich i twórca wielu filmów z jej udziałem. Okres jego największej sławy przypada na lata trzydzieste.

Jeden z największych postów belgijskich 63-letni Achille Chavea, założyciel postępowej grupy literackiej „Nupture”, członek Brygad Międzynarodowych w wojnie hiszpańskiej, żołnierz ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej.

Literatura

Jan Dobraczyński obchodził 40-lecie pracy pisarskiej. Ma on za sobą ponad 40 pozycji książkowych, wydanych w nakładzie 1,5 mln egzemplarzy, w tym przekłady na 14 języków. Ukończył właśnie książkę autobiograficzną „Tylko w jednym życiu”.

W roku bieżącym ukazał się plastyk Tom „Nowej baśni” Teodora Parnickiego.

PIW przygotowuje w serii „Współczesna proza światowa” m. in. trzy nieduże powieści Wasyli Bykowa „Przekłete wzgórze”, „Pułapka” i „Alpejska ballada”.

W woj. koszalińskim powstały dwie grupy literacko-artystyczne: „Reda” w Kołobrzegu i „Baszta” w Świdwinie. Grupują one członków ZLP, ZPAP, początkujących poetów i prozaików, fotografików oraz miłośników sztuki i literatury. Organizowane są „Wieczory poetycko-malarskie”.

Wydawnictwo moskiewskie „Progress” przygotowuje antologię 25 polskich młodych prozaików, ponadto tłumaczenie „Czterdziestego czwartego” Żaluzkiego.

Od chwili zakończenia wojny wydano w Rumunii 120 tys. tytułów książkowych, z czego 70 proc. to klasyczna i współczesna rumuńska literatura piękna.

W Algierii przyznano po raz pierwszy nagrodę państwową im. Redha Houhou w dziedzinie literatury. Otrzymał ją dwaj pisarze dziennikarscy, 24-letni Merzak Begtache i profesor uniwersytetu w Algierze, 28-letni Abderrahmane Arab.

W Indiach wydaje się co roku ok. 21 tys. tytułów książkowych. Ostatnio władze zatwierdziły wydawanie serii „Biblioteka Nehru”, która będzie drukowana we wszystkich językach, używanych w tym kraju, a obejmie ok. tysiąca tytułów.

Teatr

Senior teatru tureckiego, aktor i reżyser Ergüder Mühsin, obchodził 60-lecie pracy twórczej. Uczył się m. in. u Stanislawskiego. To on pierwszy wystawił w Turcji sztuki Nazima Hikmeta.

Londyński Unity Theatre gra z dużym powodzeniem sztuki Williama Johna Hya „Brylant, Kość, miłotek i historia w Ulsterze”. Tematem są konflikty religijne i polityczne, wybuchające od pół wieku w Północnej Irlandii.

W jednej z bibliotek teatralnych w USA odnaleziono maszynopis nieznanej komedii pisarza amerykańskiego Scotta Fitzgeralda, zmarłego w 1940 r. Dotychczas był on znany jedynie jako autor powieści.

Na kilku scenach zachodnioeuropejskich wystąpił Teatr Narodowy Senegala. Szczególnie zainteresowanie wywołał „Makbet” w wersji Maeterlincka, przystosowany do warunków afrykańskich.

Minister do spraw kultury we Francji wręczył Eugeniuszowi Ionesco Grant Prix narodowe w dziedzinie teatru.

Sztuka

Laureatem dorocznej nagrody WAG, ufundowanej przez RSW Prasa, za najlepszy plakat polityczny roku został Artur Starczewski z Katowic za plakat „20 lat Nowej Huty”.

Jedynie w kraju muzeum wnętrza w Paszynie zakupiło z rak prywatnych 227 miniatur polskich i obcych malarzy, wykonanych na pergaminie, kości słoniowej, porcelanie, metalu i masie perłowej.

Plastyki w Koszalinie (jest ich 70) zorganizowały dwie ciekawe imprezy: wystawę konkursową „Dzieło roku” oraz dwudniową „Giełdę plastyki”.

W ostatnich 5 latach Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki zorganizowało 300 wystaw, wiele sympozjów i dyskusji.

We wsi Kostenki w okręgu woroneńskim prowadzi się rekonstrukcję osady z okresu epoki paleolitu — a więc sprzed co najmniej 15 tys. lat. W centrum tej osady znajdował się dom o



Podobno (według prasy amerykańskiej) rewidacyjnie dobrym westernem okazał się film „Butch Cassidy and Kid”. W rolach głównych Robert Redford (z lewej), którego nazywano najlepszym zabijaką wśród zabijaków i Paul Newman, rzekomo najinteligentniejszy wśród zabijaków.

średnicy 3 m, zbudowany z kości i kłów mamotów, nosorożców i niedźwiedzi.

We Francji wydano album rysunków i karykatur Pilotellego, który jako żołnierz Komuny Paryskiej utrwalał na papierze sceny i ludzi z czasów walk komunistów. Pierwszy album ukazał się w Londynie przed 30 laty w nakładzie zaledwie 50 egzemplarzy, z których do dzisiaj zachowało się 18.

Przed 71 laty do muzeum w Łowrze włączono pewien sąsiedni dom, który jednak do niedawna był zajęty przez różne urzędy. Dopiero w tych dniach muzeum otrzymało tam 27 nowych sal wystawowych.

Na licytacji w Londynie sprzedano obraz Rembrandta, przedstawiający ojca malarza, za 315 tys. funtów. Cena jest podobno bardzo niska, ale sprzedający kupił obraz w 1934 r. za 7350 funtów.

Aby zrekonstruować świątynię w Tebach pochodząca sprzed 3 tys. lat, a po której zostało ok. 30 tys. fragmentów, archeologowie odwołali się do mózgów elektronowych. Określiła one, gdzie należy umieścić poszczególne części.

Muzyka

Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka wystawiła „Don Kichota” Masseneta w reżyserii Danuty Badaszkowej.

Ludowy Instytut Muzyyczny w Łodzi zorganizował pierwszy ogólnopolski konkurs gitarowy z udziałem 37 gitarzystów zawodowych i amatorów oraz uczniów liceów muzycznych.

Od końca grudnia występuje w Paryżu 30-osobowy zespół Teatru Wielkiej Opery i Baletu z Moskwy. Zespół pokazuje trzy opery i dwa balety kompozytorów rosyjskich i radzieckich.

Słynny dyrygent angielski John Barbirolli ukończył 70 lat. To on objął kierownictwo Filharmonii Nowojorskiej po Toscaninim. Od wielu lat prowadzi orkiestrę Halle w Manchesterze, która zdobyła sobie światową sławę.

Zeszłoroczny sezon opery nowojorskiej Metropolitan Opera zakończył się deficytem 35 mln dolarów. Tegoroczny sezon, który rozpoczął się „Aidą” 29 grudnia ub. r., potrwa tylko 16 tygodni.

W kwietniu w Filharmonii Nowojorskiej ma się odbyć prawykonywanie kantaty na sopran i orkiestrę Alberta Ginastera, opartej na fragmentach „Listów do Mileny” Kafki.

Film

Reżyser Władysław Ślesicki pisze już scenariusz według powieści Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”. Zdjęcia mają zacząć się w lipcu, oczywiście na taśmie kolorowej. Całość ma być gotowa w połowie 1971 r.

W roku ub. sprzedaliśmy za granicę 63 filmy długometrażowe do 26 krajów oraz 122 filmy krótkometrażowe do 29 krajów.

W Moskwie odbyła się prapremiera filmu „Tancerka” — jest to przeniesiony na ekran taniec słynnej tancerki radzieckiej Mai Pliśkiej.

Harry Saltzman, producent filmów szpiegowskich z Jamesem Bondem, za żrodła wdowy po Nijyńskim ma nakręcić film o słynnym tancerzu rosyjskim. Przeciw temu gwałtownie protestuje uczeń Nijyńskiego — Sergiusz Lifar, twierdząc: takiego filmu nie można stworzyć poza ZSRR i bez niego.

Różne

W Moskwie podpisano program współpracy naukowej i kulturalnej między Polską a ZSRR na lata 1970-71.

1 stycznia Dom Książki obchodził 20-lecie istnienia. Obecnie posiada on 1750 placówek w kraju, a więc dwa razy więcej niż przed 20 laty.

Katedra Wzornictwa Przemysłowego warszawskiej ASP przygotowuje międzynarodowe spotkanie projektantów wzornictwa przemysłowego.

Ta władność jest przeznaczona dla naszych piosenkarzy. Oto popularna i u nas Mireille Mathieu występuje w paryskiej Olimpii z programem 20 piosenek w ciągu jednego wieczoru, w tym 17 nowych, ponadto wykonuje kilka tańców solo.

Juliuszem Verne naszych czasów nazywa się w USA pisarz Ray Brandburg, autora wielu książek nauko-fantastycznych. Ostatnio w wydawstwie powiedział on: nie mam samochodu, ponieważ co roku 4 miliony Amerykanów trafia do szpitala wskutek katastrof, nie podróżuję samolotem, ponieważ odczuwam lęk już na wysokości piętego piętra.

1 czerwca rozpoczęło się przeszło miesięczny pierwszy międzynarodowy festiwal sztuki w Monte Carlo. Wystąpi m. in. Teatr Wielkiej Opery i Baletu z Moskwy.

Z ankiet angielskiej wynika, że 7 proc. mieszkańców tego kraju nie wie, kto to są Beatlesi, a 34 proc. uważa ich wciąż za najlepszy zespół na świecie.

Z brulionu lektora

Bez świętecznych papierków

Marek Adam Jaworski

ZADZWONIŁ do mnie znajomy lektor. Stuchaj — powiedział — na jednym ze spotkań w terenie prozono mnie o ocenę militarną Korei Południowej. Nie miałem pod ręką żadnych materiałów, co wyjątkowo bardzo ogólnikowo, ale obiecałem, że następnym razem podam trochę szczegółów. Może coś wygrzebać?

Wygrzebałem. Ale ten telefon umysłowił mi jeszcze raz, jak trudno jest dził mówić o sytuacji międzynarodowej. Nigdy nie wiadomo, jakie pytanie padnie z sali, co szczególnie zainteresuje poszczególnych słuchaczy. W jakiej lepszej sytuacji są ci, którzy udzielają chłopom porad rolniczych, spece od upraw i hodowli...

W lepszej? Ejże! Opowiadał mi przed kilkoma dniami pewien wykładowca z WSR, jak się musiał napić, gdy dyskusja zeszła na temat położenia chłopów francuskich i zachodniemieckich, rewaluacji marki zachodniemieckiej. Wiad, że strasznie rozpolitykowała, trudno samemu jeździć z odczytami. Powinno się organizować ekipy lektorskie, bo nigdy nie wiadomo, o co będą pytać!

Wniosek wart może zastanowienia. Jak jednak z tą Koreą Południową?

Londyński dziennik „Financial Times” podejmuje, że Korea Południowa posiada obecnie siły zbrojne liczące 600 000 ludzi, w tym ponad półmilionową armię. Ale zdaniem przedstawicieli Seulu konieczna byłaby specjalna pomoc wojskowa w wysokości co najmniej miliarda dolarów w ciągu najbliższych kilku lat, by armia Korei Południowej, na tyle poprawiła swoje uzbrojenie, by była w stanie przejąć w pełni odpowiedzialność za obronę kraju.

Tymczasem USA mają obecnie w Korei Południowej dwie dywizje armii lądowej i jedną dywizję lotniczą. Jedną z dywizji wojsk lądowych obsadza osiemnastomilowy oddział liczący 151 mil strefy zdemilitaryzowanej, dzielącej na mocy porozumienia rozejmowego Koreę Południową od Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Marionetkowe władze południowokoreańskie, niepewne swoich losów, niezbyt najwidoczniej ufają w wierność własnej armii, martwią się, czy w miarę redukcji wojsk amerykańskich w Wietnamie Południowym i tzw. wietnamizacji wojny, USA nie zechcą przystąpić do wycofywania się z Korei Południowej.

Zmartwienie chyba mocno na zpas, bo z nixonowskich planów „wietnamizacji” pokipiwiają sobie nawet co bardziej oblatani stratedzy amerykańscy bliżej znający wartość bojową i morale skorumpowanej armii południowowietnamskiej. Ponad półmilionowa armia amerykańska nie może sobie poradzić z ruchem wywołanym, trudno więc oczekiwać, aby reżim sajski mógł sprostać zadaniom.

Na wielu spotkaniach lektorskich przewija się problem niemiecki, a zwłaszcza perspektywa ważnych rozmów politycznych między Polską a Niemiecką Republiką Federalną. Nasze stanowisko w tej sprawie jest jasne. Władysław Gomułka i Józef Cyrankiewicz — słusznie zauważa francuska agencja France-Presse — nigdy nie ukrywali, że podstawowym warunkiem pojednania jest definitywne uznanie przez Bonn granicy Odra-Nysa. Uznanie linii Odra-Nysa uważane jest przez kraje Układu Warszawskiego za niezbędny element bezpieczeństwa w Europie. Rząd federalny stwierdził ze swej strony, że respektuje dążenia Polski do posiadania zabezpieczonych granic, jednakże nie odstąpił ostatecznie od swego stanowiska na płaszczyźnie prawnej, według której ostateczne porozumienie może nastąpić tylko w ramach układu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami.

Zjednoczonymi Niemcami! Zwracam uwagę na to sformułowanie, bo chciałem przytoczyć fragment z referatu Waltera Ulbrichta na ostatnim plenum SED. Historycznie rzecz biorąc — mówił przywódca NRD — „Niemcy” to dość zmienne pojęcie polityczne jak i geograficzne... Jak wiadomo, od roku 1871 istniała Rzesza Niemiecka, która później przez imperializm niemiecki o zabarwieniu nazistowskim została rozszerzona w „Wielką Rzeszę Niemiecką”. Ta Rzesza Niemiecka ze swymi armiami hitlerowskimi roztopiła się w ogniu drugiej wojny światowej. Po tym zwycięskie mocarstwa utworzyły różne strefy okupacyjne. Imperialiści amerykańscy oraz siły reakcyjne Niemiec zachodnich rozdarły w r. 1949 naród niemiecki oraz resztki powiązań, jakie przeżyłowo jesz-

cze istniały między strefami okupacyjnymi bądź zgodnie z Układem Poczdamskim jeszcze istnieć miały. W to miejsce utworzyły one na podległych im terenach zachodniemieckie separatystyczne państwo imperialistyczne „Niemiecką Republikę Federalną”. Obecnie istnieją Niemiecka Republika Demokratyczna i Niemiecka Republika Federalna, jako państwa suwerenne, od siebie niezależne i uznane z punktu widzenia prawa międzynarodowego. W obliczu zasadniczej odmienności, wręcz przeciwstawnych systemów społecznych, stosunki między tymi państwami nie mogą być uważane lub określane jako „stosunki towarzyszące”. Byłoby również złudzeniem chcieć tworzyć nad pierwszym niemieckim państwem pokojowym, NRD, oraz nad oparowaną przez siły militarysty i kapitalu monopolistycznego zachodniemiecką Republiką Federalną, sztuczny, wspólny dach, mniej więcej w duchu świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego... Fakt, że w przypadku narodów obu państw niemieckich chodzi o ludzi postępujących się językiem niemieckim, oraz fakt istnienia licznych powiązań typu pokrewieństwa, nie zmienia w niczym tego, że zachodniemiecka republika Federalna związana jest ściśle z globalną strategią USA i NATO... Połączenie socjalistycznego państwa niemieckiego ze znajdującym się jeszcze pod panowaniem kapitalu monopolistycznego państwem zachodniemieckim jest niemożliwe. To, co możliwe i konieczne, to nawiązanie normalnych stosunków na zasadzie równouprawnienia i niedyskryminacji, jak to jest w zwyczaju między suwerennymi państwami.

W innym miejscu Walter Ulbricht powiedział: Odmowa uznania podstawowych i mających wiążącą moc prawną-międzynarodową Układów Poczdamskich przy odwołaniu się do traktatu pokojowego, który ma być jeszcze zawarty z nie istniejącą od 25 lat Rzeszą Niemiecką, jest niedopuszczalna wobec prawa międzynarodowego i musi być uważana za wyraz polityki niepodporządkowanej z prawem międzynarodowym, zagrożącej pokojowi.

Polska realistycznie ocenia układ sił i w pełni zdaje sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły w Europie. Z NRD ułożyliśmy dobre stosunki międzypaństwowe, oparte na wspólnocie naszych dążeń i celów. Przygotowaliśmy jesteśmy również do rozmów z NRF.

Zachodniemiecki „Frankfurter Rundschau” pisał niedawno: „Konieczna jest rozmowa z Polską w 30 lat po napaści Hitlera na Polskę. Od tego czasu nie uczyniliśmy nic, aby dać odszkodowanie za napaść i przestępstwa. Nie możemy się dziwić, jeśli Polacy są wrażliwi — a niektórzy w Bonn uważają, że nadwrażliwi — gdy kładą słowa z Bonn na złotej wadze, zaś własnej gotowości do rozmów nie owijają w święteczne papierki.

Chciałoby się odpowiedzieć „Frankfurter Rundschau”: Nie ma takiej monety, takiego kruszcu złota, który mógłby stanowić odszkodowanie za miliony istnień ludzkich, za morze przelanej krwi i bez. Żyjemy jednak w określonej części kuli ziemskiej, bardzo blisko siebie. Myślimy dziś nie tylko o cierpieniach, ale i o tym, aby przyszłe pokolenia nie doświadczyły tego, co doświadczyło pokolenie żyjące i umierające w czasach Majdanka i Oświęcimia. Klasa, która ujęła w Polsce władzę w 1944 roku, myśli nie tylko o dniu dzisiejszym, ale i o przyszłości. Właśnie w imię przyszłości i my gotowi jesteśmy rozmawiać.

Kol. Konradowi Bielskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
ŻONY
składa Kolegium Red. i zespół „Kamery”

LITERATURA Ukrajina — organ Zarządu Głównego Związku Pisarzy Ukrainy — ukazuje się dwa razy w tygodniu (we wtorek i piątek) w Kijowie. Oto w skrócie kilka informacji, podanych w ostatnich numerach tej gazety.

W wydawnictwie kijowskim „Dni” ukazało się nowe 5-tomowe wydanie dzieł czołowego współczesnego dramaturga ukraińskiego Ołeksandra Kornijczuka. Jego twórczość znana jest również częściowo widzom polskim (m. in. w lubelskim Teatrze im. Osterwy wystawiona była jego sztuka, „Kalliope gaj”). Recenzent tego wydania stwierdza, że „O. Kornijczuk jest człowiekiem zakochanym w teatrze, ma cenny dar przedstawiania wielkich i głębokich postaci o swobodnych charakterach, którzy cudownie reprezentują swój okres historyczny”.

Mychałko Draj-Chmara to jeden z tych pisarzy i uczonej ukraińskich, którzy pojawili się i zabłysnęli razem z Rewolucją Październikową. Pisarz ten w latach trzydziestych padł ofiarą tragicznej pomyłki. Obecnie część jego bardzo wartościowej spuścizny literackiej została udostępniona narodowi, dla którego żył i tworzył.

W ZSRR corocznie przyznawane są nagrody państwowe. Na rok 1969 nagrodę w dziedzinie twórczości literackiej otrzymał poeta ukraiński Andrii Malyszko za cykl wierszy „Droga pod jaworamami”. Jest on autorem poezji bardzo lirycznej, toteż wiele jego wierszy w formie pieśni obiegło Ukrainę, a niekiedy cały Związek Radziecki, m. in. znana również w Polsce jego „Pisnia pro ruszyńców”.

różne głoski ukraińskie „e” i „h” oznaczane są jedną i tą samą literą, co niekiedy wprowadza nieporozumienia i uniemożliwia oddanie dokładnego brzmienia obcych nazw. Sprawa jest otwarta i dyskusja trwa.

Niedawno odnaleziony został we Francji egzemplarz gramatyki staroukraińskiego języka literackiego, napisanej po łacinie w 1643 roku przez Iwana Użewicza. Jest to dla historii języka i kultury ukraińskiej unikat. Krótka charakterystyka tej gramatyki, uważanej za niezwykle cenne źródło w historii językoznawstwa ukraińskiego, podaje Ołeksij Szewczenko w numerze „Literaturnej Ukrainy” z 24 października 1969 r.

Halyna Lomonos-Riwna ciekawie opowiada o książce Jana Herbinusa „Religiosae Kijovienses Cryptae”, napisanej po łacinie w roku 1872. Ten ciekawy zabytek daje interesujące wiadomości o Ukrainie, jej kulturze, religii, obyczajach. Są tam również próby wyjaśnienia pewnych wyrazów staroukraińskich. W tym czasie panowało przekonanie, że opisana przez Homera Troja to był właśnie Kijów. Herbinus twierdził że to niemożliwe. Ukraińców nazywa on „Rokosolanami” czyli „Rusolanami”, co wtedy było popularne w literaturze polskiej, np. „Rokosolanki to jest ruskie panny” piosła Szymona Zimorowicza z roku 1823. Ciekawy to przykład zainteresowania się Ukrainą Herbinusa, który był pisarzem, twórcą w różnych językach, a pisał również po polsku.



otywiona dyskusja o wprowadzenie z powrotem do alfabetu ukraińskiego litery na oznaczenie głosek g, która używana była od XVI wieku, a wyrzucona z alfabetu dopiero w XX w. bez poważniejszego uzasadnienia. Znany pisarz Borys Antonenko-Dawydowicz pisze na ten temat w stałej rubryce „Literaturnej Ukrainy” noszącej tytuł „Nawkoło słowa”. Stwierdza, że społeczeństwo domaga się rehabilitacji tej niewinnej, ale niezwykle potrzebnej alfabetowi litery. Od czasu zlikwidowania tej litery dwie

MALARSKA pracownia przy bocznej ulicy śródmieścia Lublina. Obszerne pomieszczenie przedzielone na dwie części ciemną kotarą. Zamiast sufitowych tynków wielka tafa zbrojonego szkła, łagodnie rozpraszająca północne światło. W rogach zacieki, po środku stoły zabielone skrętami kartonów. Sztalugi z płótnami, których oblicza odwrócone od obcego wzroku. Zaszuszone w złocistych kolorach kwiaty, stygnące w glinianych dzbanach.

Kaktusy niewielkie i mało ich. Ani śladu secesyjnych lamp naftowych czy tutejszych samowarów, światełków drewnianych czy map „starożytnych”. Niemodna to pracownia, wyprana z prestiżu podnoszących efektów, z nachalnych symboli przynależności do Współczesnych Tendencji.

Na dodatek ten klarnet dziecięcy plastikowy, kupiony za złotych kilkadziesiąt w sklepie z zabawkami, i ta harmoszka niema o wytartych klawiszach. Po co?

— Sprawdzam układ dion. Muszę widzieć to, co maluję — wyjaśnia właściciel pracowni, Zenon Kononowicz — szczerzy, lekko pochylony, słowy.

Niemal pół wieku temu, po ukończeniu szkoły średniej w Riazaniu, walczył się Kononowicz po pejzażach Wileńszczyzny, szkiceował ludzi i chałupy, rzeki i łąki. A kiedy wiatr zaśmierał mu w twarz spaleniźną, kiedy błysnął słup ognia na horyzoncie, rzucał na bok szkicownik i ołówek, wskakiwał do jednokonki i jako pan taksator ubezpieczeń od ognia pędził szczerze szkody.

— We wsi Montuny koła Zabłocia spłonęło 60 chałup. Ogień podłóżyła dziewczyna, uwiedziona i porzucona przez syna właściciela folwarku, Łagosza. Sama zginęła, poparzona, zwłoki jej znalazłem nazajutrz nad rzeką. Płonąc biegła do wody, lecz nie zdążyła.

Tamten krótki okres swojego życia zapamiętał z zastanawiającą dokładnością, późniejsze liczne i burzliwe wydarzenia, w których uczestniczył, nie zdołały zatrzeć nazw płonących wiosek i nazwisk pogorzalców, ani specyficznego posmaku kresowych krajobrazów. Być może, ten wysoki ogień rozcinający zieloną równinę, przelamujący się z nią w dźwięczny kontrpunkt kolorów i energii — być może taki obraz, zanotowany w wyobraźni, stał się czymś w rodzaju idealnego modelu twórczości malarskiej Kononowicza, wiążącej barwę, światło i materię farby w dynamiczne harmonie.

Ale model ten ożywił się tylko przed konkretnym przedmiotem i krajobrazem, przed materialnie istniejącym, działającym na zmysły obiektem. Kononowicz nigdy nie malował „z głowy”, zawsze szukał zaczepki z naturą, w swoich długich wędrówkach po kraju docierając do miejsc, gdzie „kwiaty płoną”.

Osip Mandelsztam

Gdy rośnie rozczył chlebowy
Z najlepszego ziarna,
Traci wprost od żaru głowę
Dusza gospodarna.

Niby Zofije pszeniczne
Nad niebieskim stołem
Wnoszą się kopuły śliczne
Ciepłem napelnione.

Aby wypiek był przepiękny,
Siła albo łaska
Łowi skrętnie słów bochenki
Czas — cesarski pastuch.

I znajduję miejsce swoje
Czerstwy wieków pasierb,
Usychający podpłomyk
W przedchlebowym czasie.
1922.

Chłód łaskocze moje skronie,
Po co o tym mówić, stój!
I mnie czas swym ostrzem ścina,
Jak ściał niegdyś obcas tuój.

Zycie siebie przezwycięża
I zamiera z wolną taktą;
Zawsze czegoś nie dostaje,
O czymś wspomnieć czasu brak.

Przecież dawniej lepiej było,
Porównanie każde drogi;
Jakże kiedyś szeleściłaś,
Jak ty dziś szeleściłaś, krwi.

Widać nie bez śladu mijs
Poruszenie otwój warg,
I świerk co ma być zgrabny
Wzniesła hałas próżnych skarg.
1922.

tlum. Bohdan Zadura

Konieczność widzenia tego, co maluje, zmusiła go w 1937 r. do tygodniami trwającego ustawiania na polach człekokształtnych manekinów — z drutu, szmat, papierów — poprzedzającego pracę nad obrazem „Kopanie kartofli”, niezgodnym zresztą na warszawskim salonie Instytutu Propagandy Sztuki. Jednocześnie lat później, przygotowując malarską realizację na konkurs olimpijski (II nagroda), długie dni spędził na obserwacji walk szermierczych.

Wobec natury był pokorny. W tym sensie, że nie rozpruwał kadiubów drzew w poszukiwaniu nieznanych struktur tkanek i stół, które tak hojnie inspirowały abstrakcjonistów. Nie splaszczal nosa na murach starych domów — one także należą do natury, jako że „wrosnięte w ziemię” i długowieczne — w poszukiwaniu spekań światów Dubuffeta i innych. Zawsze patrzył na świat z wysokości czwoliczego wzroku, pozwalającej na widzenia całości rzeczy.

Jednak nie kpiował, pokory swej nie utożsamiał z reprodukowaniem wizerunków drzew, ludzi kwiatów, domów, morza. Zbierał z nich światło i kolor (rzadko konstrukcję), notował na płótnie wzajemne związki tych elementów, celowo gubił jedne, akcentował drugie. I w tym miejscu kończyła się pokora, posiadająca raczej sens filozoficzny, bliska pantelzmowi, a zaczynało świadome ingerowanie w naturę. Zaczynała się realizacja własnej natury przy pomocy impulsów wysyłanych przez naturę zewnętrzną.

— Nie chodziło mi nigdy o przeniesienie na płótno wycinka przyrody, lecz o zapisanie mojego jej odczucia. Izolacja od natury zuboża człowieka. Być z nią w zgodzie, to znaczy słyszeć jej oddech.

„John Glen zachwycał się rąbkami błękitu przestworza, patrząc przez okno swego kosmicznego stat-



Zenon Kononowicz — rys. tuszem.

Dwaj artyści zadecydowali o malarskim starcie Kononowicza: Felicejan Szczerzy Kowarski i Józef Pankiewicz. Pierwszy z nich: autor monumentalnych, dramatycznych portretów zbiorowych, o wielkiej sile oddziaływania, twórca patetycznych pejzaży z okolic Ojowa, podporządkowanych surowym rygorom formalnym. Malarz myśli, pojęć, a

dwudziestych, próbował podejmować późniejszy lublinianin — zapewne bez głębszej refleksji analitycznej — już na początku studiów. Niezłym tego przykładem może być incydent, jaki wydarzył się w czasie przeglądu prac II roku malarskiego Akademii, pośrednio ilustrujący odmienną postaw artystycznych (i nie tylko tych) Pankiewicza i Kowarskiego.

pisał wyznawców rozlewającego się w latach trzydziestych po kraju koloryzmu. Brał udział w wystawach tych ugrupowań, o czym przypomina III tom „Historii Sztuki Polskiej” z 1962 r., lecz prawdę mówiąc nie angażował się zbytnio w ich działalność, od początku swej dojrzałej drogi twórczej będąc osobowością niezależną, w sobie właściwy sposób korzystającą tylko z pewnych rozwiązań formalnych, proponowanych przez koloryzm. Atmosfera obrazów, charakter ich sugestii lirycznej — to wszystko już wówczas nosiło wyróżniające, kononowiczowskie znamie.

Znalazło to potwierdzenie w latach powojennych, spędzonych — poza epizodem szczecińskim 1946—1950 — w Kazimierzu nad Wisłą i Lublinie. W „minionym okresie” po-teplano go za rzekomy formalizm, po roku 1956 wielu sądziło, że „Bosy” vel „Kanon” (pseudonimy) nie ma już nic do powiedzenia wobec dynamicznej ekspansji abstrakcji geometrycznej i tasyzmu. A on, jak kiedyś, tak i teraz wychodził w plener, szukał „objawienia natury”, malował pejzaże, kwiaty i owoce. Operacje na płótnie zredukował jednak do minimum, budował obrazy z kilkunastu kresek i plam żółtych i czerwonych, zielonych i błękitnych. Malował znaki, ale czytelne.

Nie ugiął się jednak przed naporem modnych tendencji, nie poszedł śladami tych nieszczęśników, którzy w imię kuracji odmładzającej przenicowali swój koloryzm w abstrakcyjną hybrydę postimpresjonistyczno-geometrycznych nowotworów. Kononowicz był i pozostał Kononowiczem, malarzem czującym na impulsy wysyłane przez naturę. Jego obrazy są rodzajem zapisu intymnego dialogu, który przez całe dojrzałe artystycznie życie z nią prowadził.

Autentyczność postawy twórczej Kononowicza i świetnie pod względem malarskim efekty jego działalności zjednały mu szacunek także wśród artystów diametralnie odmiennych orientacji, nie mających często nic wspólnego z prostokątem obrazu, jako polem twórczego działania. Dowodem zaproszenie go do udziału w wystawie i Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców w Puławach w 1966 r. Kameralne płótno Kononowicza były na pewno dysonansem wśród „montaży”, „przeźrzeni wizualnych”, „sytuacji”, „przypadków statystycznie nieprzypadkowych” Kantora, J. Ziemińskiego, Borowskiego i Winlarskiego. Ale autora kazimierzowskich pejzaży łączyła z tymi artystami więź najmocniejsza: żarliwej pasji twórczej, niezależnej od takich czy innych koniunktur.

Pierwszym publicznym wystąpieniem Zenona Kononowicza była wystawa w krakowskim Pałacu Sztuki w 1929 r. Czterdzieści lat później, w październiku 1969 r., artysta wystąpił z niewielkim pokazem malarskim w sali lubelskiego BWA, co zbliżyło się z krajową konferencją kierowników Blur Wystaw Artystycznych. Tymy gości. Wino i koniak. Wyflokowane damy. Uściaki dion.

W grudniu otrzymałem list od Kononowicza: *Mój Drogi! A teraz tożądaje mi się, że nonsensem jest pisanie o „Kanonie”, „Bosym”, bo- wiem mało kto będzie to czytał. Ale napisz coś na przykład o Rasputinie. Nie znajdziesz ze śliczą jedną osobą, która by z namaszczeniem, skupieniem, „od deski do deski” tego nie przeczytała...*

Ireneusz J. Kamiński

Próba opisu życia i twórczości Zenona Kononowicza

Pasja i pokora

ku, ale i ja patrzyłem na światła maszyny liczącej i wiem, że wyglądają jak gwiazdy” — powiedział kiedyś Allan Kaprow.

Koplował Kononowicz na studiach i we Włoszech, gdzie wyjechał w 1929 r. na stypendium, po uzyskaniu absolutorium w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zgłodziła widoku dzieł, które znał jedynie z wykładów i reprodukcji — jakże wówczas miernych technicznie i rzadkich — włóczył się po muzeach i galeriach, wypełnionych publicznością i tabunami zawodowych kopistów, sprzedających efekty swych rzemieślniczych umiejętności turystom.

Chęć sprawdzić zręczność dion i psychiczną podatność do takiej roboty, usiadł Kononowicz przed „Autoportretem” Rembrandta i rozłożył sztalugi. Wkrótce zorientował się, że nie kopiuje, lecz interpretuje dzieło Holendra. „Nieudolność” przybłądy wzbudziła wesołość wśród „zawodowców”, a w końcu polittowanie, manifestowane stukaniem się w czoło. Przedłużające się drwiny zrywały na koniec Kononowicza. Traf chciał, że w kryzysowym momencie pojawił się znajomy Włoch, profesor szkoły sztuk pięknych w Neapolu, z którym obmyślił zamiar. Profesor przedzierzgnął się w rasowego Anglika — kolekcjonera, który zbywając lekcważące oferty kopistów, zatrzymał się przy Kononowiczu i zaproponował mu kupno rozpoczętej pracy za oszalałającą kwotę 1500 li-rów, wystarczającą do nabycia 10 dobrych kopii. „Zawodowcy” zdebieli i dalej zachęcać Polaka do sprzedaży, póki Anglik — ich zdaniem kompletny ignorant i idiotą — nie ostygł w zapale. Niestety, intryga wyszła na jaw, a Kononowicz — w ogromnym pośpiechu — z muzeum, żegnany obelgami rozwścieczonych południowców. Ale karta wstępu do muzeum, którą po latach „wylegitymował się” Kononowicz podczas okupacyjnej łapanki w Lublinie, uratowała mu, być może, życie. Nie znający włoskiego żołnierz niemiecki oddałli się na chwilę w poszukiwaniu oficera, co wystarczyło artyście do zmylenia pogoni.

Oszczędności poczynione we Włoszech umożliwiły Kononowiczowi pięćmiesięczny pobyt w Paryżu, gdzie spotkał się z Józefem Pankiewiczem i członkami Filii Paryskiej ASP w Krakowie.

nie wrażeń zmysłowych, który nawet martwe natury przekształcił w heroiczną budowlę. Znakomity dydaktyk, którego liczni uczniowie sprzeniewierzyli się w większości naukom mistrza, odchodząc drogą lekką i kolorową, zainiejowaną w Polsce właśnie przez Pankiewicza, patrona duchowego „Komitetu Paryskiego”, skupiającego jego i Weis-sa uczniów, przyjaciela Bonnarda, twórcę wysmakowanych kolorystycznie pejzaży, człowieka o wielkiej kulturze, zafascynowanego sztuką zachodnioeuropejską.

Przedo wszystkim zawdzięcza im Kononowicz sam fakt przyjęcia do krakowskiej Akademii. W 1923 r., na wiadomość o rozpoczęciu egzaminów wstępnych na uczelnię, taksator ubezpieczeń od ognia rzucił table i miary, spakował skromny dobytek i wyruszył do Krakowa. Przybył za późno, już po zakończeniu egzaminów. Jednak szkice międzyzypozarne, które przysłał z sobą, zaintrygowały Kowarskiego i Pankiewicza do tego stopnia, że zdecydowali się przyjąć puciołowatego prowincjusza od razu na... drugi rok. Z kresowej jednokonki przeskoczył Kononowicz na pegazowe żrebie.

Studiował malarstwo pod kierunkiem Kowarskiego, na III roku uzyskując asystenturę przy pracowni technicznej malarstwa monumentalnego, kierowanej właśnie przez autora „Wędrowców”. W latach 1926—28 współpracował z nim przy polichromii plafonów na Wawelu. Po przeniesieniu się Kowarskiego w 1930 r. do warszawskiej ASP Kononowicz podążył śladami profesora, aby w 1933 r. zaliczyć ostatnie egzaminy dyplomowe. Namalował wówczas duże płótno pt. „Apostołowie”, spełniające podstawowe założenia monumentalnej twórczości nauczyciela.

Zaledwie rok później urządzona w salonie IPS-u indywidualna wystawa przesyconych powietrzem, lek- kich pejzaży Kononowicza ujawniła przecieł całą różnicę między twórczością mistrza i ucznia. Jeszcze raz, ale tylko na krótko, pojawił się Kononowicz przy Kowarskim: w 1939 r., niemal w przeddzień wybuchu wojny, jako jego asystent w warszawskiej ASP. Wojna przerwała ten kontakt, niszcząc zarazem niemal cały dotychczasowy dorobek Kononowicza.

Aczkolwiek nie osobiste, to przecieł silniejsze wprze — bo estetyczne — łączyły Kononowicza z Pankiewiczem. Problemy koloru i faktury, rozwijane przez kierownika Paryskiej Filii ASP w Krakowie szczególnie intensywnie w latach

Przed samym przeglądem Kowarski poradził Kononowiczowi, aby ten schował za piec swój bardzo kolorowy „Akt”, bo „to może drażnić innych profesorów”. Student skorzystał z rady, a w chwilę później, podczas przeglądu, Pankiewicz wy- elagnął niezbyt dobrze ukryty obraz, obejrzał, pokręcił głową i... nagroził autora!

Studentkie wspomnienia Kononowicza rzadko wiążą się z dydaktyką, zazwyczaj przewijają się w nich anegdoty i żarty, w nieco rubasznym czasem kształcie mieszczące barwę młodości. Akademicki elementarz warsztatowo-ideowych prawideł zniknął pod żyzną warstwą indywidualnych doświadczeń i odkryć twórczych.

Podczas wieczornych rysunków koleżanka Klimkowska ze Lwowa pomyliła mnie z modelem i dalej popędzła: „No, proszę pana, czas już chyba rozebrać się, nieprawdaż?” — „Chyba z panią, moja droga”. Klimkowska oniemiała, ale trwało to sekunde. — „Co takiego?! Ja pana każe natychmiast wyrzucić z pracowni!” — „Stasiu — wyjaśniła rzecz inna koleżanka — to nasz kolega i do tego gospodarz wieczornych rysunków”.

Anegdoty niewiele jednak mówią o trudnościach bytowych, z jakimi borykał się Kononowicz na początku studiów. Żył w skrajnym ubóstwie. Zarabiał na życie jako targaż dworców. Był pensjonariuszem ojców albertynów, utrzymujących schronisko dla bezdomnych. Zdarzyło się, że nie mogąc zrealizować należności za pokój hotelowy, ulotnił się „po angielsku”, wspomagany dzielnie i bezinteresownie przez pewnego agronoma, który w nocy spuścił z okna na sznurku dobytek Kononowicza. Zapłacił zresztą później właścicielowi hotelu, czym zdobył jego serdeczną sympatię, dokumentowaną przez wiele miesięcy gościnnym poczęstunkiem, mocno zakrapianym rzilingiem.

Lepsze czasy nastąpiły dla Kononowicza z chwilą objęcia odpowiedzialnej posady młodszego woźnego Akademii, co zawiadzczał starszemu pedlowi, którego działki nau- czał podstawowych mądrosć. Po upływie dalszych dwóch lat jako tako zabezpieczył swój byt, zostając asystentem w pracowni Kowarskiego, z czym wiązał się przydział „opalanego mieszkania ze sprzątan- niem”.

W latach międzywojennych należał Kononowicz do dwóch stowarzyszeń artystycznych: do „Zwornika” i „Przynatu”; ten ostatni sku-



STUDIENIE ogródków działkowych w Białej Podlaskiej 9 sierpnia 1969 roku znaleziono zwłoki 19-letniej Doroty Boguszewskiej ze Sławatycy pod Włodawą. Była uczennicą Technikum Gospodarczego i właśnie odbywała praktykę w barze mlecznym przy głównej ulicy miasta. Była ładna, zgrabna, wesola, towarzyska, a równocześnie utrzymująca dystans wobec chłopców. Badanie lekarskie stwierdziło krótko: śmierć wskutek uduszenia, a równocześnie gwałt.

Komendy Powiatowa i Wojewódzka MO zostały postawione na nogi. W okresie kilku miesięcy przed tym tragicznym wypadkiem — a także tuż po nim — rejestr nie wykrytych przestępstw wykazywał: trzy rozboje, dwa gwałty, cztery usiłowania ich dokonania. Przez miasto i okolice poszła plotka: pojawił się wampir! O zmroku zniknęły z ulic wszystkie kobiety, do zakładów pracy wpływały podania od pracowników, domagających się przeniesienia ich z drugiej czy trzeciej zmiany.

MO wyłoniła specjalną grupę śledczą, która stanęła przed niezwykle trudnym zadaniem. Społeczeństwo domagało się szybkiego wykrycia sprawców, a tymczasem środowisko przestępcze i chuligańskie właśnie powiększało się o tych, którzy na podstawie amnestii opuścili więzienia, a jednak nie chcieli wrócić do normalnego życia. Badano więc szczegółowo te właśnie środowiska, ludzi, którzy normalnie przechodzili przez dzielnice ze śródmieścia do nowej dzielnicy Wola. A może zabójcą był chory psychicznie, może zbrojeniec seksualny, może człowiek, który zjawiał się tu przejazdem? Wersji, prawdopodobnych wersji, było wiele. Ale która okaże się prawdziwą?

Komendant Wojewódzki MO plik Jerzy Andrzejewski przerywa relację i na krótko pokazuje fotografie kilku kobiet.

— Ładne babki — wrywa mi się. — Ale co to ma wspólnego?...

— To nasi milicjanci — wyjaśnia pułkownik i troskliwie zbiera fotografie, bo nawet dziennikarz nie powinien znać tych twarzy. — Przydają nam się w różnych sprawach. Ale konkretnie w której, to już nasza tajemnica.

Tak czy inaczej grupa śledcza w Białej Podlaskiej działała energicznie. Jedni oficjalnie i niemal dosłownie przewracali wszystko do góry nogami, inni, niewidoczni, drążyli różne środowiska, zbierali informacje, obserwowali. No i w krótkim czasie aresztowano 8 osób, którym udowodniono dokonanie 39 przestępstw — w tym wszystkich rozbojów i gwałtów. Z wyjątkiem ostatniego wypadku.

Wprawdzie po tych aresztowaniach psychoczo w mieście została rozładowana, ale milicja nadal stała przed najtrudniejszą zagadką: kto zamordował Boguszewską?

Kolejną więc brano pod mikroskop wszystkich znajomych ofiary. Szczegółowo, a jednocześnie z dystansu — co łatwo powiedzieć, a trudno wykonać, gdy z braku dowodów czy chociażby poszlak nikogo nie można aresztować. Jednym z tych, nad którymi zatrzymano się dłużej, był 22-letni Jerzy Faron. Ten młody człowiek nie pracował, nie uczył się, opowiadał szeroko o swoich zainteresowaniach filmem i fotografią, coś tam nawet bąkał o literaturze i plastyce, ale wszystko to okazało się słowami bez pokrycia.

Prawdą natomiast było to, że całe dni chodził po głównych ulicach, od czasu do czasu wstępując do miejscowych kawiarni. Był przystojny, a ponieważ umiał stworzyć wokół siebie odpowiednią atmosferę, miejscowe i co bardziej lekkomyślnie dziewczęta szybko wpadały w jego objęcia. Wreszcie udało się powiedzieć, że żadna mu się nie oprze. On sam też w to uwierzył. I gdy kiedyś przez kolegów poznał Boguszewską, był zaskoczony, że tym razem napotkał opór. Gdy zapewne wskutek jego zbyt wielkiej agresywności dziewczyna wkrótce zerwała znajomość, organizował niby przypadkowe spot-

kania. Jego wybujała na tie łatwych dotąd zdobycy miłość własnemu czuła się urażona. Rozpadał się mił chłopaka, któremu ulegnie każda dziewczyna.

9 sierpnia czekał na Dorotę przed barem, potem odprowadził ją do domu. Zaproponował drogę przez dzielnice. Prostopadła dziewczyna, niestety, zgodziła się. Ale odmówiła stanowczo, gdy kilkanaście minut później zaproponował jej zbliżenie. I wtedy...

Jerzego Faron aresztowano 3 miesiące po popełnieniu zbrodni. Najpierw, oczywiście, zaprzeczał, ale po przedstawieniu wielu dowodów przyznał się do morderstwa i gwałtu. Akt oskarżenia jest już w sądzie.

W tym samym dniu, gdy aresztowano Faron, w urzędzie pocztowym w Baranowie pow. puławski dokonano kradzieży 230 589 zł. Zameldował o tym sam naczelnik poczty. Tego dnia urząd pocztowy otwarto z czterogodzinnym opóźnieniem, ale specjalna ekipa z KW i KP MO pracowała dalej. Chodziło przecież o pokasną sumę — od lat nie było kradzieży tak dużej ilości pieniędzy.

Z milicyjnych raportów

Morderstwo i kosz kwiatów

Jerzy Dostatni

Przed wszystkim odtworzono to, co działo się w godzinach poprzedzających kradzież. Okazało się, że poprzedniego dnia o godz. 14 naczelnik osobiście przyjął owe pieniądze z miejscowego Prezydium GRN i złożył je w szufladzie swego biurka, niczym jej nie zamkając. Po godzinie poszedł do swego mieszkania, znajdującego się w tym samym budynku. Wypił w pojedynkę ćwiartkę wódki. Potem poszedł na obiad do gospody, sprawdzając po drodze, czy pieniądze są. Były, ale wciąż nie zamknięte — i tak pozostały. Podczas obiadu wypił prawie pół litra wódki. Po raz drugi sprawdził czy pieniądze są, znów pozostawił je bez zabezpieczenia i poszedł do siebie. Co się działo potem, już nie pamiętał — wódka robiła swoje.

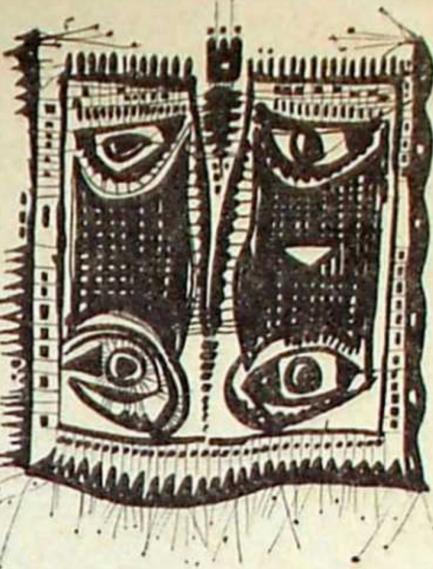
A tymczasem śledztwo wykazało, że gdy naczelnik był w urzędzie po obiedzie, weszło tam dwóch mężczyzn z Puław, którzy chcieli telefonować. Pijany naczelnik nie zdołał ich połączyć, więc poszli sobie. Obaj kategorycznie zaprzeczali, jakoby mieli dokonać kradzieży, zeznali natomiast, że obserwowali ich niejaki Józek, którego znali z widzenia. Wkrótce więc przesłuchano i Józefa Kozłowskiego, pracującego zaledwie od 2 tygodni w puławskich Azotach, karanego już za kradzież. Mieszkał tuż obok poczty i często spotykał się z naczelnikiem.

Następnego dnia Kozłowski przyznał się do kradzieży. Wypuszczono więc przetrzymanych owych dwóch mężczyzn z Puław, a ze wskazanej kryjówki wydobyto 150 tys. zł. Ponieważ Kozłowski po opisanym sposobu włamania się do urzędu i zdobyciu niespodziewanie wysokiego łupu zaczął zdradzać objawy choroby psychicznej, przesłano go na

badania lekarskie. Stąd nie udało się jeszcze wyświetlić, gdzie podziało się brakujące 80 tys. zł.

Nawet powierzchowna panorama przestępstw, którymi zajmuje się nasza Milicja Obywatelska, nie byłaby jednak pełna, gdyby pominąć dwa ich rodzaje — przestępstwa nieletnich oraz afery gospodarcze.

Przestępczością nieletnich zajmujemy się osobno, więc tu krótko o grupie — jeżeli tak można powiedzieć — młodzieżowej. Otóż w czerwcu — a po wakacyjnej przerwie we wrześniu na pograniczu powiatów zamojskiego, hrubieszowskiego i tomaszowskiego dokonano szeregu włamań do sklepów i kiosków, były nawet usiłowania włamań do banków SOP i urzędów pocztowych. Milicjanci fachowcy na podstawie pozostawionych śladów doszli do wniosku, że wszystko to jest dziełem jednej grupy i że prawdopodobnie jej siedzibą jest Zamość. W tym więc kierunku poszły poszukiwania specjalnej ekipy MO, nie zaniedbującej zresztą także innych możliwości.



Rys. Z. Strzałkowski

18 września zatrzymano 9 mężczyzn w wieku 17—20 lat, którym udowodniono 23 włamania i 2 kradzieże. Wszyscy aresztowani, z wyjątkiem jednego, byli uczniami szkół w Zamościu. I wbrew dosyć powszechnemu mniemaniu, że przestępczość nieletnich oraz młodzieży jest m. in. wynikiem rozbitych rodzin — okazało się, że wszyscy mają rodziców i dobre warunki materialne. A nawet często zbyt dobre, bo np. jeden z nich otrzymywał co miesiąc od ojca kieszonkowe w wysokości 1500 zł. Pieniądze przychodziły łatwo i rozchodzily się jeszcze łatwiej. Młodym ludziom zaczynało ich coraz częściej brakować na coraz liczniejsze rozrywki, na coraz częstsze picie alkoholu. Więc... Nie wiem, czy sąd będzie skłonny im uwierzyć, że dokonywali włamań trochę dla zdobycia pieniędzy, a trochę jak twierdzili w śledztwie — dla sportu. Kodeks karny nie przewiduje przestępstwa „dla sportu”.

No i wreszcie przestępstwa gospodarcze. Niestety, jest ich więcej niż poprzednio, a niektóre — jak np. sprawa oszustw ze skupem tytoniu (o czym pisała prasa dziennicza) — sięgają bardzo poważnych sum. Sprawom przestępstw gospodarczych, niejednokrotnie rzeczywiście drobiazgowo przemysłowych — wydaje się, że opracowali taki system, iż wykrycie ich nie jest rzeczą możliwą. A jednak są różne sposoby na ich wykrycie. Ot np. jedna z afer ze skupem wełny. Kwity, rozliczenia — wszystko było w idealnym porządku. A jednak pewna analiza, przeprowadzona w KW MO, wykazała, że jeden z południowych powiatów województwa bije światowe rekordy w liczbie owiec oraz wydajności tych owiec w produkowaniu wełny.

Rzecz byłaby przyjemna, gdyby była... prawdziwa. Grupę ludzi trzeba postawić przed sądem. Podobna analiza w innym wypadku wykazała, że w pow. tomaszowskim jest więcej stogów z włóknem konopi niż być powinno. Niemal w ostatniej chwili — bo wszystko było już przygotowane do sprzedaży na wolnym rynku — udaremniono sprzedaż surowca wartości miliona zł.

Jak widać, nasza MO nie narzeka — niestety — na brak pracy w zwalczaniu lub zapobieganiu przestępstwom i zbrodniom. Poicyzyszy się możemy chyba tylko tym, że wykrywalność zabójstw i większych włamań jest w naszym województwie całkowita, a kradzieży o 9,5 proc. wyższa od przeciętnej krajowej. Tu trzeba jednak powiedzieć — po zajrzeniu do Rocznika Statystycznego — że w 1968 roku na 300 zabójstw w całym kraju na Lubelszczyźnie popełniono 32, czyli aż 8,4 proc., podczas gdy ludności mamy równo 6 proc. Z czego wniosek, że ciągle nie bardzo cenimy cudze życie. Lepiej przedstawić się sprawą z kradzieżami, bo nasz „udział” wynosi 4,7 proc., a więc wskaźnik jest u nas niższy niż przeciętnie w kraju. Tak czy inaczej w tymże 1968 roku skazano u nas prawomocnie z oskarżenia publicznego 11 371 osób, a z oskarżenia prywatnego 931. Następuje tu — niezbyt zresztą systematycznie — pewien spadek. W każdym razie, statystycznie rzecz biorąc, każdy z nas ma szansę co 158 lat dostać się za kratki. Cóż szczęście, życie wniesie zasadniczą poprawkę — olbrzymia większość nie pójdzie wcale, inni po kilka razy.

Plik Andrzejewski opowiada, jak to w czasie wizyty w jednym z państw kapitalistycznych szefowie tamtejszej policji nie mogli wyjść z podziwu, że nasza MO posiada tak wysokie wskaźniki wykrywalności. I trudno im było zrozumieć, że to głównie dzięki coraz szerszej współpracy społeczeństwa. Ok. 35 proc. przestępstw gospodarczych, większość kradzieży wykrywa się właśnie dzięki tej współpracy, wypływającej ze zrozumienia społecznej roli, jaką pełni nasza MO w życiu nas wszystkich i każdego z osobna. A potem informuje o kilku jeszcze sprawach, które warto tu odnotować. A więc:

... że dojrzały już warunki, aby MO podjęła energiczną akcję celem utrzymania pełnego porządku na ulicach. Stąd każdego dnia, a zwłaszcza wieczorami i nocą, coraz częściej pojawiają się patroli milicjantów niemundurowych, które ingerują w wypadku używania wulgarnych słów, zaczepiania kobiet, krzyków itp.;

... że w przypadkach przestępstw nieletnich będą coraz częściej wyciągane konsekwencje wobec rodziców, niezależnie od ich pozycji społecznej lub zawodowej;

... że w przypadkach przestępstw gospodarczych będą wyciągane konsekwencje wobec osób, usiłujących zastraszyć świadków, pochwalających lub nawet tolerujących przestępstwa, szkanujących tych, którzy chcą powiedzieć lub powiedzieli prawdę;

... że zacznie się stosować publiczną rehabilitację osób, niesłusznie zatrzymanych lub aresztowanych, czego przecież uniknąć się nie da. Niedawno np. w FSC aresztowano pewnego dobrego pracownika i w kajdankach przeprowadzono przez hałą na oczach żalgi. Wkrótce okazało się, że zasłała pomyłka — nazwisko i imię były identyczne z poszukiwanym, tylko osoba inna. Zakupiono więc kosz kwiatów i delegacja MO z tym koszem przeszła także przez całą hałą i wręczyła go owemu pracownikowi na oczach wszystkich. Potem przyszedł do KW MO list z podziękowaniem i uznaniem, a pod nim prawie półtora tysiąca podpisów. Gdy milicja kogoś zatrzyma, a potem zwolni, niektórzy mówią: zdołał się wykreślić, ale nie jest bez winy. A niektórzy dodają: zwolnili, bo ma chody. Takie publiczne rehabilitacje czy wyjaśnienia będą stosowane za każdym razem...

P. S. Ponieważ otrzymaliśmy aktualny materiał o pracy MO, przesyłamy druk zapowiadanych reportaży o działalności wywiadu zachodnoniemieckiego na Lubelszczyźnie.

Ze mną to nie to co Mańka zabić

Dokończenie ze str. 1

Człowiek, nie wróg, to znaczy dużo. Szczególnie tu, na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, gdzie wojna trwała nie 6 lat, a 12. Niemcy nekali ich kontyngentami, wywozili na roboty, na Zamek, na Majdanek, wielu nie wróciło już nigdy. Ale tu, nie miejscu, chłopcy byli między swymi, do każdego miało się zaufanie, u każdego można było szukać pomocy. Sąsiednie wście były w gorszej sytuacji. Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej zniknęły z powierzchni ziemi, zostawały po nich tylko sady i opalone kominy. Lala się krew bratnia. Ukraińcy i Polacy byli tu sobie przez wiele lat braćmi, czasem — jak w rodzinie — zdarzały się nieporozumienia, lecz na ogół żyli w przyjaźni, wspólnie obchodzili i święta prawosławne i katolickie, byli sobie nawzajem kumami, żenili się między sobą. Dopiero kiedy przybyli tu wysłannicy nacjonalistycznych organizacji ukraińskich, zdołali zagnitować

część swoich rodaków przeciw Polakom.

Uspokoiło się zaraz po wyzwoleniu. Lecz kiedy w styczniu 45 roku front ruszył, a wojska radzieckie i polskie poszły na zachód, UPA znów zaczęła hulać. Znowu więc we wsi spali niespokojnie, gotowi w każdej chwili do obrony i do ucieczki. Wprawdzie nie działy się tu takie rzeczy jak kilkanaście kilometrów od nich, na południe od Hrubieszowa, zawsze jednak groźba wisiała w powietrzu. Jeśli banda Kurennego ośmieliła się napaść na powiatowe miasto, obsadzone wojskiem, milicją i bezpieczeństwem, mogła zapędzić się i tu. Na szczęście w ich wsi nie było zdrajców ani ludzi niepewnych. Wierzyli, że każdy Polek to przyjaciel i to podtrzymywało ich na duchu. Coś z tamtych czasów wspólnoty obronnej pozostało w tym pozdrawianiu wszystkich na ulicy. Dzień dobry! — dzień dobry!

Tylko Fudrak i Saczyński mijają się bokiem, odwracają głowy, udają, że nie widzą. A jeśli przyjdzie im stanąć twarzą w twarz, w powietrzu pachnie krwią. To nie jest przesada. Walczyli już ze sobą, nieraz w spór musieli wdawać się sąsiedzi, milicja, prokurator, sąd.

— Czy oskarżony Bolesław Fudrak przyznaje się do pobicia Ludwika Saczyńskiego? — pyta sędzia.

Publiczność, której nigdy nie brakuje w salach rozpraw Sądu Powiatowego w Hrubieszowie, patrzy zdumiona. Fudrak jest wysoki, ma sprężyste ruchy, ale choć trzyma się krzepko, widać, że to już starszy człowiek. Ma 64 lata i wiele ciężkich przeżył za sobą. Tymczasem Saczyński to czterdziestolatek, średniego wzrostu, ale krepki, mocno zbudowany, na oko musi mieć cholerną siłę.

— Przyznaje się — mówi Fudrak.

— Co oskarżony może powiedzieć na swoją obronę?

— Wysoki Sądzie, Saczyński zabił mi syna, najstarszego, ukochnego.

— Wysoki Sądzie, tamta sprawa była zalatwiona na drodze prawnej — wtrąca się adwokat Saczyńskiego. — Mój klient został skazany, karę odbył i nawet nastąpiło zatarcie tego wyroku w aktach.

— No tak, odsiedział półtora roku i panoszy się. A mój Mańka leży na cmentarzu — mówi Fudrak i iza toczy mu się po policzku.

Może ta iza, a może różnica wieku stron sprawia, że sąd łagodnie

obchodził się z oskarżonym. Działał w afekcie, splot okoliczności jest wyjątkowy. Uniewinnienie. Kolejna bójka — wezwanie, by przyrzekł poprawę. Znowu tam któraś — kończy się skazaniem na areszt i zawieszaniem na krótki termin.

Więś żyje każdą z tych spraw. Nawet dziesięcioletnie dzieci opowiadają szczegóły tamtego wydarzenia z roku 1946, tyle, że każde trochę inaczej. Więś zresztą różni się w poglądach na tę sprawę. Lubią Fudraka, bo to jeszcze sprzed wojny jedyny krawiec na okolicie, zna wszystkich i gdyby było trzeba, może uszyć nawet z pamięci, bez mierzenia. Saczyńskiego też wszyscy lubią. Dobry gospodarz, uczynny, do straży pożarnej należy, chętny do pracy społecznej. Opinie na temat waśni są jednak podzielone. Jak by to tak mojego chłopaka zabił, nigdy bym nie darował — mówili mi jedni. A inni: wyrok odsiedział, boli to ojca czy nie, nie może się go zceplać.

Sołtys Stefan Kot chętnie podejmuje temat, bo to jest sprawa, która leży mu na sercu. Śledzimy w kuchni i mówimy głośno, gdyż w sąsiednim pokoju telewizor, nastawiony na cały regulator, nadaje przegrody pana Wołodajowskiego, a obserwując je gromada dzieci okrzykami i śmiechem wyraża podziw dla filmu. Telewizorów we wsi jest dużo, lecz od czasów gdy zakupiono pierwszy przyjęło się zbiorowe oglądanie co ciekawszych audycji. Dziś niedziela, więc dzieci przyszło sporo, a do sołtysa także wielu dorosłych na pogaduszki. Ubrani odświętnie, ciemne granitury, białe koszule, drogie krawaty. I tylko twarze zaróżowione od mrozu oraz flice walonki na nogach przypominają, że to więś.

że zaraz za drzwiami dmie przejmujący wiatr i nanosi zaspy. W kuchni jest jednak ciepło i parno.

— Stodoła ledwo mi się trzyma, reperować nie ma co, trzeba postawić nową. W ogóle kłopotów różnych mam do licha i trocha, więś jest duża, 83 numery, gospodarstwa średnie, 2—5 hektarowe, ale zamożne, ziemia głównie II i III klasy, rąk do pracy, jak wszędzie w hrubieszowskim, brakuje, materiałów budowlanych nie ma, trzeba przywieźć nawozy, wywieźć buraki. Klinkier w czynie społecznym zwieźliśmy w lutym, w mroź, zza Białopola. Część ułożyliśmy na drodze, ale potem przyjechali z powiatu i resztę zabrali do innej miejscowości. Teraz chłopcy czują żal, namęczyli się, nagonili konie, a droga nie jest skończona. Musi być we wsi jedność, żeby to wszystko zalać. A tu ci się biją. Każde zerwanie to ryzyko. Spojrzą oko w oko i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Nieprzyjemnie się wtrąca. Fudrak jest zawzięty. Tyle lat mi nęło, a on jakby to było wezorał. Nie można tak! Inna sprawa, że gdybym ja był na jego miejscu, też by mi lekko nie przyszło darować Mańka pamiętam... Spokojny był chłopak, cichy, dobry, nikomu w drogę nie wchodził. Przeżył wojnę, a zginął z ręki kolegi!

Bo Marian Fudrak był najlepszym przyjacielem i kolegą Ludwika Saczyńskiego. Sąsiedzi, razem się wychowywali, bawili, dorastali. Marian był o rok starszy. Dopiero w ostatnim czasie przed śmiercią ich drogi zaczęły się rozchodzić. Mieli inne charaktery, inne temperamenty, wykształcili się w nich inne zainteresowania.

— Mój chłopak był spokojny —

Ślepiec

Jan Górec-Rosiński

Od chwili, w której straciłem oczy, nie wiem, co się dzieje ze światem. Mógłbym kupić aparat do patrzenia, ale obawiam się, że obrazy, jakich mi dostarczy, będą wytworem obcej, może i myślącej maszyny, ale skonstruowanej przez innego człowieka. Zresztą, nawet nie wiem, czy takie aparaty już wynaleziono? Ale wiem, że będą wynalezione, widzę je wyobraźnią. Chodzę więc pograżony w ciemności i tylko w marzeniach usiłuję wywołać wizję tych barw, które niegdyś oglądały moje oczy.

Nie wiem, po co karmię swe myśli nadzieją? Każdy ślepiec wie, że świat jest wiecznym poddany ciemności. Nadzieja jest rozpaczą. Zuchwałą próbą oszukiwania siebie, że coś może się zmienić i niewidzące oczy pewnego dnia z mrocznej otchłani wyłonią na nowo światło, i barwy, i całą przedziwność życia. A może po prostu nadzieja jest światłem ślepców?

Jedno zawsze widzę: łzy. Są duże, ciepłe, błyszczące. Wiem, że błyszczą, bo zawsze nimi wycieka kawałek ludzkiej duszy. Kiedy biegają po policzkach, są mi szczególnie bliskie; czuję ich stapania, drobne milimetrowe kroczki, płacz. Łzy też płaczą. Jak człowiek. Boję się wtedy je rozetrzeć: zdaje mi się, że popelniam morderstwo na tych maleńkich kuleczkach, wyciekających z miejsc, gdzie kiedyś mieszkaly moje oczy. To wielkie szczęście, że człowiek może płakać. Śmiech, krzyk, śpiew — są pustką, dalszym niewidzeniem. Płacz jest przeciwieństwem protestem, buntem, niepodą na niedoskonałość świata. Może dlatego łzy są przyjacielem ślepców? Może dlatego ślepiec nie tylko czuje łzy, ale i je widzi. Tam kiedyś były jego oczy, a w oczach jego świat. Świat odszedł, lecz zostało serce. To serce roni łzy; dlatego są tak ciepłe i tyle w nich przyjaźni i żalu do świata, który pogroził się w ciemności...

Niczego tak nie pragnę w życiu, jak ujrzeć znów. Pamiętam świat, kiedyś miałem jeszcze oczy. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że własny obraz świata jest najważniejszą sprawą w życiu człowieka. Nie wiedziałem, że liść zielony jest zielonym dlatego, iż ja go widzę takim; że słońce jest białe lub czerwone dlatego, iż moje oczy nadają mu taką barwę; że oczy innego człowieka są mi przyjazne lub złe dlatego, iż mój wzrok zaszczerpił w nich to uczucie. Dzisiaj świat muszę oglądać poprzez ciemność, przez mrok mojej nadziei. Czasami zdaje mi się, że tylko dzięki temu poznaję i rozumiem twarz człowieka, kolor wody, połysk noża, krągłość jabłka. Widzę szelest gałęzi, rozpoznaję cierpienia butów sąsiadki schodzącej codziennie drewnianymi schodami do miasta. Schody są czarne i czolągają się na ulicę: może też chcą spojrzeć na świat, wyrwać się z zamkniętego domu? Przed chwilą przejechał tamtędy tramwaj: był czerwony, napchany ludźmi. Widzę nawet gęstość szyn i zderzenie piasku, którym bawią się dzieci moich sąsiadów. Powietrze ma barwę słońca, a słońce jest podobne do oczu mojej matki.

Ktoś pomyślałby, że fantazjuję. Nie przyszłoby mi nawet na myśl, że ślepiec może wiedzieć płacz kamienia, ból łamanej gałęzi, rozpacz wykrutu, umieranie horyzontu. Trzeba wielu lat, aby do świata ciemności przynieść barwę, pokolorować, uczynić tak bogatym, iż oglądać go można całym sobą, każdą komórka i każdym drgnieniem. Tylko łzy mają wartość ludzkiego wzroku. Dlatego nawet wtedy, kiedy człowiekowi zabiera się oczy — zostają. Cóż jednak człowiek, który ma oczy, może wiedzieć o ślepcu?

To dziwne, ale nieraz łatwiej mi porozumieć się z drzewem, niż z człowiekiem. Drzewo patrzy całe sobą. Jak ja. Człowiek posiada widzące oczy i najczęściej nimi rozmawia ze światem, zapominając o sercu. Reszta nie uczestniczy w oglądzie. Drzewo i ślepiec oczu nie mają i dlatego patrzą całym sobą. Dotykam — i ręką widzę drzewo, stopą kamień, palcami ciszę. Wstępuję w rzekę, wspinam się na wzgórza, kładę się na ziemi i przenikam ją do końca. Nawet powietrze posiada dla mnie barwę, muzyka kolory, a milczenie kwiecistość ogródki. Podobnie jak krzywa ma głos, serce oczu, a siumienie sprawiedliwość. Zresztą, świat mój jest nieśmiertelny, albowiem tylko ciemność może być wiecznością. Noszę go w sobie i wiem, że pozostaną w nim na zawsze. Będzie miał taką doskonałość, jaką oddzielił go w ciągu mojego życia. Nie lituję się więc nade mną: tylko w mroku można pozostać człowiekiem.

Od tej pory, w której pojąłem to, przestałem być ślepcem.

wspomina Fudrak. — A tamten latawiec. Jego ojciec to był człowiek zasłużony, partyzant, siedział na Majdanku, uciekł z obozu. Przyjaźniłem się z nim. Zaraz po wyzwoleniu zmarł na gruźlicę. Ludwik oglądał się za moją córką, myślałem nawet, że będzie z nich dobra para. Ale Maniek jak zobaczył, że on lubi popie i odstawił kozołka, powiedział — nie. Wolalbym nieślubne dzieci siostry bawili, niż mieć ciebie za szwagra. Tak mu powiedział. I już była między nimi złość. A potem tamten zaczął chodzić za jedną dziewczyną, która sympatyzowała z Marianem. Ludwik się jej nie podobał; kropał sobie kielicha i latal po wsi z pistoletem, co go miał po ojcu. Nieraz mu radziłem, żeby nie bawił się bronią, bo to może się źle skończyć. I stało się, tylko nie dla niego.

— To było w lipcu 46 roku, w niedzielę. U Saczyńskich stał na kwaterze posterunek wojska. Wtedy w naszym powiecie wojsko miało co 10—15 km swoje placówki. Zolnierza położył się spać, a Ludwik wziął jego karabin, jeździł po wsi rowerem i strzelał. Był podstępny. Samogonem. I przyjechał tu do mego sądu, pod wianę, gdzie Maniek stał z Michałem Szczepańskim, Bronkiem Kozą i Hefiktem Czajkowskim. Stanał, zdjął karabin z pleców, wymierzył w Mańka i strzelił. I jak Maniek upadł, ci co stali z nim chcieli Saczyńskiego złapać. On wtedy uciekł, wypadł za wieś, na drogę, zatrzymał jakiegoś motocyklistę i kazał się zawieźć do UB w Hrubieszowie. A tam powiedział, żeby go aresztowali, bo zabił człowieka.

— Gdy ja usłyszałem ten strzał, wyskoczyłem z domu i widzę, że

mój chłopak już trupem. Złapałem za łopatę i pobiegłem do domu Saczyńskiego, żeby zabić Ludka. Nie było go. To ja za łopatę i do jego matki, ale w ostatniej chwili zmierzowałem się, że ona niewinna i zostawiłem ją. Dobrze zrobiłem, bo inaczej miałbym do dziś wyrzuty sumienia. Lecz Ludka można było ubić, to było sprawiedliwe. Prokurator powiedział mi na drugi dzień, że miałem 24 godziny na zabicie go w afekcji i byłbym mało karany, a po tym terminie to już wyrok byłby duży. No niech pan powie, czy to wystarczy? Ja do dziś nie mogę o tym spokojnie myśleć. A on został skazany na 3 lata więzienia; uwzględnili, że młody, że sam się zgłosił do władz, no i uwierzyli mu, że to było niechcący. Bo myślał, że karabin niezareperowany. Odsiedział półtora roku i za dobre sprawowanie w więzieniu został zwolniony. I teraz chodził sobie, króluje. Nawet do mego sądu przychodził, bo u mnie czasem zbierają się chłopcy, żeby pogadać. To ja mu powiedziałem: ty tu, gdzie Maniek stał, stać nie będziesz. Nie przychodź, bo ci się co złego stanie. Ze mną, to nie to, co Mańka zabił. On zresztą jak z kim ma o co spór, to jemu tak samo mówią: ze mną, to nie to, co Mańka zabił. Teraz chodzi już drugą stroną drogi. Tylko czasem gdzieś się spotkamy.

Gdy się spotkają i gdy jeszcze Fudrak jest po kielichu, a wypić lubi, kobiety i dzieci pośpiesznie odchodzą na bok, mężczyźni zaś czekają w skupieniu, by w porę ich rozdzielić.

— Wysoki Sądzie, to wszystko wojna i przeżycia z nią związane — mówił potem obrońca Fudraka

Partykularz przestarzałych gustów

Dokończenie ze str. 1

uczających, studentów uczniów — jako tako ocytanych już w powieści oraz lirycy tradycyjnej i sięgających po książkę współczesną. Skarżą się oni na „niezrozumiałość” nowej literatury, brak „klucza” do jej odczytania, brak fachowego poradnictwa i pośrednictwa w tym zakresie itp. Fakty właściwie banalne. W ten sposób rodzą się frustracje kulturowe, getta intelektualne, niechęć do pisarstwa współczesnego w ogóle.

A jeszcze do tego znajdują się „adwokaci”, opacznie uzasadniający i tłumaczący tę sytuację. Bilansując XIX-wieczne gusta literackie dzisiejszej młodzieży, tak pisze Z. Grzelak: Zainteresowanie burzliwą epoką minioną może być także pośrednią krytyką pozytywistycznej krątanty nasytę czasów i wyrażać jednocześnie negatywną ocenę literatury współczesnej, uduchowionej i niekomunikatywnej. (Młodzież a kultura, „Kultura i Społeczeństwo” 1969, nr 2, s. 220). Radujmy się, że uchroniliśmy młodzież od niecnych a przepastnych zasadzek literatury współczesnej — uduchowionej i niekomunikatywnej! Nie wiem, czy Grzelak zapoznał się z artykułem M. Lopatkowej, umieszczonym w tym samym numerze czasopisma, gdzie autorka m. in. stwierdza: jeśli odbiorca uzna poezję współczesną za niezrozumiałą, nieprzydatną i odrzuci ją — nie będzie poezji współczesnej (s. 175). Radujmy się! Zostanie po nas złom żelazny i głuchy drwiący śmiech pokoleń — słowa wielkiego pisarza nabierają nieoczekiwane sensu w tym kontekście.

„Słownik Wyrazów Obcych” (Warszawa 1958) tak definiuje „popularyzację” — omawianie zagadnień, podawanie określonej wiedzy w słowie lub druku w sposób przystępny i zrozumiały dla niespecjalistów; rozpowszechnianie, uprzyśtuwanie wiedzy szerokiemu ogółowi. Właśnie wiedzy. W tym tkwi sedno.

Z pewnym prawdopodobieństwem można przyjąć, iż przeciętnie inteligentny oraz wykształcony czytelnik dawniejszy mógł bez specjalnych studiów jako tako zrozumieć i odebrać w kategoriach estetycznych współczesną mu prozę czy lirykę, a w każdym razie pokonanie trudności percepcyjnych, rodzących się nawet na styku dwu różnych konwencji literackich (powiedzmy: Klasycyzm — Romantyzm), nie przedstawiało takich problemów, jakie stawia dzisiejsza literatura. Nasza epoka bowiem, z jej skomplikowaniem, kataklizmami i przyspieszonym tempem zasadniczych przemian, rodzących ciągle nowe zjawiska artystyczne, nasza wiek epoka i radykalny, na skalę nie spotykaną dotąd, przełom artystyczny, jaki się w stosunku do XIX stulecia dokonał i nadal dokonuje, wymaga od odbiorcy nie tylko szerokiego zakresu wiedzy artystycznej, ale i ciągłego jej uzupełniania. Wiedzy o tym, z czego zbudowany jest utwór literacki, jak funkcjonują jego elementy, jakie prawdy o sobie oraz o świecie odkrył człowiek współczesny i w jaki sposób zdeterminowało to strukturę dzieła. Wiedzy ogó-

nej — o programach artystycznych naszego stulecia, którą podsuwa na przykład A. Hutnikiewicz w książce „Od czystej formy do literatury faktu” (Toruń 1965). Wiedzy konkretnej — o budowie reprezentatywnych utworów współczesnych, którą daje na przykład zbiór spółki autorskiej: T. Kostkiewiczowej, A. Okopień-Sławińskiej i J. Sławińskiego pt. „Czytamy utwory współczesne” (Warszawa 1967). Aż żal, że tego rodzaju, sporadyczne zresztą, wydawnictwa ukazują się w kilkutyśięcnych jedynie nakładach. Znowu potracaliśmy o prawdy banalne, szkoda byłoby o tym pisać, gdyby nie było trzeba.

Kto tego rodzaju wiedzy dostarcza społeczeństwu masowo i w sposób zorganizowany? Prasa literacka, społeczno-kulturalna i krytycy za jej pośrednictwem? Bynajmniej. Zle jest nawet za zwykłą informacją o nowościach. Krytyka zaś, podzielona na koterie, zgrupowana wokół określonych stoliczek w literackiej kafejce, bawi się we własnym gronie, toczy wewnątrzrodzinkowe spory, przemawia językiem w tajemniczości magów, nie troszcząc się o zwyczajnego konsumenta literatury. Znamy to, znamy... Może więc organizacje społeczne wyręczają krytykę i prasę? Poza uświęconą formą spotkania autorskiego, formą zresztą o małym zasięgu, nie, a w każdym razie bardzo niewiele robią te organizacje dla upowszechnienia współczesnej literatury. Cóż zresztą mają robić, skoro od lat nie potrafia wykształcić własnego, fachowego działacza na niwie zbożnej pracy kulturotwórczej? Moje doświadczenia i obserwacje, związane z pracą lubelskiego ZMS i ZSP, całkowicie to potwierdzają (choćby nikle nadzwyczaj) rezultaty ostatniego turnieju czytelniczego, którym zajmował się ZW ZMS). Niech zainteresowani zaprzeczają! Gdzież za tym wszystkim czai się smutne widmo kłopotów z funduszami, ale ta sprawa wymaga kalkiem osobnych dywagacji.

Zostaje szkoła — jako możliwość wstępnego przynajmniej zaznajomienia przyszłych pełnoletnich obywateli z dorobkiem nowoczesnego pisarstwa. A w szkole — przede wszystkim polonista. Tyle tylko, że z programu studiów polonistycznych weale nie wynika konieczność edukacji studentów w dziedzinie współczesnych zjawisk literackich! Czy ja to sam wymyśliłem? Skądże znowu! O tym, i nie tylko o tym, bo też i o krytyce tzw. naukowej, pisze jeden z uniwersyteckich profesorów-polonistów, Artur Hutnikiewicz, we wspomnianej książce: Uniwersyteckie studium historii literatury kończy się w istocie na Młodej Polsce. Absolwent uniwersytetu lat sześćdziesiątych, jeśli pasja i niecierpliwość poznał wna nie skłoniły go do poszukiwań na własną rękę, staje właściwie bezradny wobec zawile skomplikowane rzeczywistości literackiej naszego wieku. W naszej krytyce naukowej brak wydańnictwa informacyjnych, brak zarysów i syntez, choćby cząstkowych i tymczasowych, ale przecież nieodzownych, jeśli szkoła na wszystkich szczeblach nauczania i wychowania nie ma stracić kontaktu z bieżącym

życiem. Wciąż nie docenia się roli i społecznej wartości piśmiennictwa popularnego, obtrzymnego znaczenia popularyzacji w budowaniu świadomości kulturalnej narodu (s. 5). Nic dodać, nie ująć. Potwierdza się wszystko, co mówiłem poprzednio. Zaś o konieczności związku teorii naukowej z praktyką obszernie mówi uchwała IV Plenum KC PZPR. Trzeba to przemyśleć pod kątem potrzeb polonistycznej dydaktyki na szczeblu uniwersyteckim i szkolnym.

W dotychczasowej sytuacji wiedza literacka, jaką przekazuje szkoła, kończy się zwykle na modelu epiki realistycznej XIX wieku oraz liryki romantycznej i na późniejszych kontynuacjach tych zjawisk. Modele owe częstokroć pojnowane bywają zresztą nazbyt prymitywne, górze naiwny dydaktyzm i zabytkowe już pojęcia estetyczne: treść i formy.

Młodzież w zetknięciu na przykład z prozą dzisiejszą, tą, która przełamuje konwencje estetyki XIX-wiecznej, staje bezradna. Wynikają stąd sytuacje zabawne. Oto kandydatka na filologię polską, analizując „Sennik współczesny” Konwickiego, stara się doszukać w książce... pozytywne wzorów osobowych! W konsekwencji ów dydaktyzm naiwny w ogóle przewija się w działalności organów popularyzujących jakąkolwiek literaturę, szczególnie na szczeblu tzw. terenowym. Świadomość animatorów czytelnicstwa i odbiorców błąka się po manowcach przestarzałych gustów, izolowana od aktualnych zjawisk artystycznych, bo podobnie dzieje się w zakresie teatru i plastyki. Taki jest ostateczny efekt sytuacji, w której wiedza o współczesności artystycznej pozostaje własnością garstki wybrańców. Jak tu myśleć o kształtowaniu nowoczesnego obywatela?

Nie neguję, oczywiście, walorów wychowawczych nowej sztuki. Twierdzę jednak, że walory te należy kalkiem inaczej niż dotąd wydobyc, gdyż są po prostu inne, a w każdym razie inaczej się realizują w dziełach, co zresztą znów stanowi temat osobny. Trzeba wszak pamiętać o stwierdzeniu Władysława Gomułki: Nie zamierzamy upraszczać ani wulgaryzować obowiązków i roli pisarzy, funkcji społecznej literatury, sprostować ją do zadań propagandy politycznej. Wiemy, że literatura taka przestaje być sztuką i zarazem nie staje się dobrą propagandą. Partia nie potrzebuje pochlebstw, ani lakierowania rzeczywistości. Partii naszej potrzebna literatura, która by współuczestniczyła w wielkim dziele przewartościowania świadomości człowieka, duszy narodu, mądrze i daleko widząca cele socjalizmu, zdobywała i porwała dla nich ludzi. Potrzeba nam literatury i sztuki pokazującej prawdę życia, bogatą i wielostronną, literatury przesiąkniętej socjalistycznym humanizmem — przewodnią ideą naszej działalności.

Takiej też potrzeba nam popularyzacji. Do tych celów z pewnością nie prowadzi zaścianek literacki, jaki zdaje się powstawać w naszym społeczeństwie.

Maciej Podgórski

na kolejnej rozprawie. — Gdyby nie strata syna, mój klient nie pili-by. Wysoki Sądzie, zabójca Mariana Fudraka odpowiadał przed prawem za swój czyn. Nie można mieć jednak pretensji, że mój klient wciąż cierpi z powodu śmierci syna, że jego miłość rodzicielska nie wietrzeje z czasem.

— Wysoki Sądzie, to wojna! — tak mówił też przed paru laty obrońca Saczyńskiego na rozprawie o zabójstwo Mariana. — Gdyby nie wojna, mój klient nie miałby okazji do wzięcia w rękę karabinu. To wojna sprawiła, że nikt mu karabinu nie odebrał. Ta wieść była w całości partyzancka. Rok, dwa czy trzy temu, broń nosiło stale wielu młodych chłopców. Zabójstwo było nieumyślne. Odrzucam podejrzenia o zemstę za dziewczynę. Młody Fudrak znał dobrze Saczyńskiego i miał chyba do niego zaufanie, skoro nie wyjął nawet ręk z kieszeni, gdy tamten doń mierzył. To była zabawa, a zabawa z bronią zawsze może skończyć się tragicznie.

— No, dobrze, wojna wojną, ale od wojny minęło 25 lat i nie mogą dalej ginąć ludzie. — Gustaw Zebzda, prezes wiejskiego koła ZBoWiD, którego budziłem z podobnej drzemki, wstał, poprawił krawat i szelki, zapina mankiety koszuli na wielkie spinki z perłowej masy i wciąga na nogi botki na zamek błyskawiczny. — To się może źle skończyć. Na ostatniej zabawie strażackiej Fudrak tak się przyczepił Saczyńskiego, że ten w końcu ałapał za nos i powiedział, iż choć tamto było nieumyślne, sumienie go gnębi do dziś,

ale to co innego. Lecz zaczepek dłużej nie wytrzyma, rąbnie i Fudraka i siebie. Ja mu na to: Ludwik, spróbuj przeprosić uroczyście staro. Ale on mówi, że próbował i to nie pomogło. Słowo daje, nie wiem, jak to załatwić. Sto lat równo istnieje nasza wieś, a takiego wypadku nie było. Najlepiej by się stało, gdyby jeden gdzieś wyjechał.

— To co, zabił mi syna, a teraz ja mam się gdzieś jeszcze wynosić? — pyta mnie Fudrak. — Tak go chowałem. W czasie wojny szłem czasem coś Bittnerowi, Niemcowi, inspektorowi rolnemu. Płacił mi wódką. A ja tę wódkę dawałem Józefowi, sekretarzowi gminy w Moniatyczach. To był porządny Ukrainiec, choć syna miał bandytę. Za wódkę Józefowi odracał Mańkowi wyjazd na roboty do Niemiec. A ten mi go zabił. Najstarszego...

— Gdzie ja wyjadę? Jestem rolnikiem, tu mam gospodarstwo. Zresztą Fudrak polecałby za mną na drugi koniec Polski i zastrzył życie — zwiesza ciężko głowę Saczyński, Oderwalem go od oglądania meczu w telewizji. Jest zapalonym kibicem, jednak chętnie ze mną rozmawia. — Tu wiedzą wszyscy o tej sprawie. Nie mam nie do ukrycia. To był nieszczęśliwy wypadek. Gdybym chciał Mańka zastrzelić po cichu, okazji wtedy nie brakowało, a nikt nie podejrzewałby mnie. Fudrak cierpi do dziś, Mnie też to boli i gnębi. Chciałbym przynajmniej ze starym żyć w spokoju. A boję się do niego podejść, bo rzuci się, zrobi krzywdę. Mnie nawet w obronie własnej nie wypada go uderzyć. Wieczorem

zamykam się w domu na cztery spusty, jak w czasie wojny.

Pobudowali się obaj. Saczyński — nowy, obszerny, murywany dom i budynki gospodarcze. Fudrak dom mniejszy, drewniany, ale już trzeci — bo jeden zostawił córce, drugi synowi. Dzieci Saczyńskiego i wnuki Fudraka znają wojnę tylko z lekcji historii i opowiadań starszych. Ale w nich samych wojna trwa do dziś. Codziennie Saczyński przechodził nieopodal zabudowań Fudraka. I codziennie w sercu staro go pojawia się świeży obraz Mańka, jak leży w pyłe, pod wianą, z rękami w kieszeniach i małą dziurką w czole — i starym wydaje się, że powinien to pomścić. Zmesta zawsze tu była jedną z form sprawiedliwości, wieś to rozumie, ale dziś jest już przeciwna zemście.

Jest wieczór. We wsi ruch. Co pół godziny przejeżdża autobus do Hrubieszowa. Młodzież gromadzi się na przystanku, wybiera się do kina, do restauracji, kawiarni. Na przystanku widno, jak i w całej wsi. Ca 30 metrów stoi latarnia. Zawsze jednak można znaleźć jakiś oświetlony opłotek, cichy kątek. Może właśnie w tej chwili stoi tam w nim stary i czai się. Może skoczy, zada cios. Albo tamten nie wytrzyma nerwowo i pierwszy rzuci się. A może wyjdzie mi się tylko. Nie się nie stanie. Będą tak żyć, stąpać ostrożnie wokół siebie, zaciskać zęby i wytrzeszczać oczy w ciemność.

Romułd Wiśniewski

Kamena str. 5

ZBURZENIE

Z BRODNIA, dokonana na Warszawie przez niemieckich najeźdźców, nie ma precedensu w historii. Z miliona trzystu tysięcy przedwojennych mieszkańców stolicy w okresie 1939—1945 Niemcy wymordowali na miejscu bądź w obozach 800 do 850 tysięcy osób. Sama Warszawa straciła w minionej wojnie więcej, niż Wielka Brytania, Belgia, Holandia i Luksemburg razem wzięte.

Mord na ludności Warszawy dokonywany był w szczególnie bestialski sposób. Niemcy zastosowali

Powstania Warszawskiego 1944 r. wróg, stosując bestialskie metody, burząc i podpalając całe dzielnice, zniszczył dalsze 25 proc. zabudowy. Najstraszliwszy etap burzenia Warszawy rozpoczął się w październiku 1944. Niemcy przystąpili do systematycznego wypalania oraz wysadzania w powietrze praktycznie wszystkich ociekających budynków. W ciągu nieco więcej niż dwóch miesięcy, do 17 stycznia 1945 r., zniszczyli ponad 30 proc. zabudowy Warszawy. Obok budynków niszczone urządzenia komunalne, rabowano i wywożono bądź niszczone na miejscu dobytek, po-



Warszawa — ul. Czerniakowska w 1945 r.

wszystkie znane im formy eksterminacji: terrorystyczne naloty i bombardowania artyleryjskie we wrześniu 1939 i podczas Powstania Warszawskiego, masowe egzekucje ludności przez wieszanie, rozstrzelanie, w tym egzekucje uliczne, mordowanie więźniów i zatrzymanych, kierowanie mieszkańców stolicy do obozów koncentracyjnych, wreszcie masowe rzezie, z których najbardziej krwawa była rzeź Woli 5—7 sierpnia 1944, kiedy to w ciągu trzech dni zamordowano 50—58 tysięcy osób.

Równie straszliwe straty wróg zadał substancji miasta. Odbywało się to w kilku etapach. Już podczas wrześniowego oblężenia stolicy w 1939 r., w wyniku nie uzasadnionych względami wojskowymi działań, Niemcy zniszczyli ok. 10 proc. zabudowy Warszawy. Później nadszedł czas okupacji, gdy zabroniona była odbudowa, a Niemcy kontynuowali dzieło zniszczenia, burząc zwłaszcza obiekty o wartości kulturalnej, takie jak spalony w 1939 r., lecz zburzony później Zamek Królewski czy też pomniki. Kolejny etap nastąpił w trakcie i po likwidacji powstania w getcie: ofiarą padło wówczas ok. 15 proc. przedwojennej zabudowy. Podczas

zostałe skarby kultury polskiej, muzea, biblioteki, archiwa.

Wyzwolenie ofensywa wojsk polskich i radzieckich nie pozwoliła Niemcom na dokonanie doszczętnego zagłady miasta. Niektóre obiekty uratowano dosłownie w ostatniej chwili. Pałace Łazienki i Belwederski były już przygotowane do wysadzenia w powietrze, materiał wybuchowy został założony, lecz Niemcom zabrakło czasu, aby go eksplodować.

Globalne zniszczenia Warszawy przerażają swym ogromem. Wróg unicestwił ponad 80 proc. przedwojennej zabudowy, zaś straty w gmachach zabytkowych, w kościołach, w fabrykach sięgnęły 90 proc. Sama tylko wartość zburzonych budynków, bez ich wyposażenia, przekracza miliard przedwojennych dolarów USA w złocie. Nikt chyba nie obliczył precyzyjnie, ile wyniosły straty w urządzeniach komunalnych, wyposażeniu miasta i domów: nie budzi wątpliwości, że były one co najmniej o połowę wyższe od strat w budynkach. Wreszcie straty w dobrach kultury nie mieszczą się w kategoriach wycieńczenia finansowych.

Leszek Moczulski

WYZWOLENIE

P RZYGOTOWANIA do wielkiej operacji, która została zakończona wyzwoleniem Warszawy, rozpoczęły się jeszcze na jesieni 1944 r. Wkrótce po zakończeniu pierwszej bitwy o Warszawę z sierpnia — września 1944, zakończonej połowicznym sukcesem, jakim było wyzwolenie Pragi, a równocześnie zdławienie przez Niemców Powstania w stolicy — nieprzyjacieli przygotowywał się do długotrwałej obrony, gromadząc wojska i rozbudowując pozycje. 28 listopada 1944 r. radzieckie naczelné dowództwo wydało sztabowi I Frontu Białoruskiego dyrektywę nr 220275; polecała ona przygotować i przeprowadzić operację zaczepną z zadaniem bliższym rozgromienia warszawsko-radomskiego zgrupowania nieprzyjaciela, wyzwolenia Warszawy i opanowania nie później niż w jedenasty — dwunasty dzień natarcia rubieży: Piotrówek — Sanniki — Zychlin — Łódź. Operacja ta stanowiła pierwszą fazę zakrojonej szeroko operacji na kierunku berlińskim, planowanej na głębokość co najmniej Poznania, a najlepiej Odry.

W ramach szerszej operacji warszawsko-piotrkowskiej opracowany został przez sztab I Frontu Białoruskiego plan bitwy o Warszawę. Przewidziano do niej trzy armie: 1 armie WP oraz 61 i 47 armie radzieckiej; w początkowej fazie bitwy pośrednio miała wziąć udział także radziecka 2 armia pancerna gwardii.

Zdecydowano się rozegrać bitwę warszawską przy zastosowaniu klasycznego modelu dwustronnej operacji okrążającej. Silne zgrupowania skrzydłowe otrzymały rozkaz najpierw obejścia stolicy od północy i południa, a następnie otoczenia niemieckiego zgrupowania warszawskiego i jego likwidacji. Szczegółowy podział zadań był następujący:

2 armia pancerna gwardii, działająca z przyczółka magnuszewsko-wareckiego, otrzymała zadanie wdarcia się w wylom frontu niemieckiego, wywalczony przez armie polowe i śpiesznego marszu przez Grójec i Żyrardów do rejonu Sochaczewa. W ten sposób człogi radzieckie wychodziły na głębokie tyły niemieckiego zgrupowania w Warszawie, co zresztą rozstrzygało losy bitwy. Zadanie bezpośredniej likwidacji lewego skrzydła niemieckiej 9 armii otrzymały siły pozostałe. Dwie armie radzieckie — 61 na południu i 47 na północy otrzymały zadanie sforsowania Wisły i nacierania w kierunku odpowiednio przez Tarczyn i Grodzisk Mazowiecki oraz przez Łomianki i Puszcę Kampinoską na Błonie, gdzie miały spotkać się z sobą. W ten sposób powstawał zewnętrzny krąg otoczenia. Zadanie stworzenia wewnętrznego kręgu i następnie wyzwolenia Warszawy postawiono przed 1 armią WP.

Sztab 1 armii opracował bardzo szczegółowy plan działań. Niemal wszystkie siły polskie przeznaczono do sforsowania dwu skrzydłowych zgrupowań uderzeniowych. Północne zgrupowanie w składzie wzmocnionej 2 dywizji piechoty otrzymało zadanie sforsowania Wisły pod Łomiankami i ataku na Warszawę od północy, a częściowo od północnego zachodu. Znacznie silniejsze zgrupowanie południowe w składzie 1, 3, 4 dywizji piechoty i 1 brygady pancernej przeznaczone zostało do sforsowania Wisły pomiędzy przyczółkiem magnuszewsko-wareckim a Górą Kalwarią; jednostki polskie miały następnie nacierać w kierunku Piaseczna, Pruszkowa i Ożarowa, aby nawiązać łączność z działającą od północy 2 dywizją. W ten sposób niemiecki garnizon Warszawy miał zostać otoczony. Dopiero po szczelnym zamknięciu kotła i podciągnięciu wszystkich wojsk 1 armia WP miała przejść do szturm Warszawy i likwidacji sił niemieckich.

Dzielność radzieckich i polskich żołnierzy, nadszpiewanie szybkiego tempa operacji, wielkie sukcesy odniesione już w pierwszych dniach ofensywy wprowadziły daleko idące modyfikacje do planu działań, dzięki czemu zostały one przyspieszone i uproszczone.

Potężna ofensywa, rozpoczęta 12. I 1945 r. z przyczółka baranowskiego, do 16 stycznia objęła cały front przebiegający przez ziemie polskie. Tegoż dnia bitwa o wyzwolenie Warszawy zaczęła toczyć się w błyskawicznym tempie. Człogom radzieckiej 2 armii pancernej udało się 16 stycznia dotrzeć do Bzury pod Sochaczewem, a tego samego dnia 47 armia radziecka po sforsowaniu Wisły uderzyła w kierunku na Puszcę Kampinoską, zaś 61 armia radziecka wyzwoliła Górę Kalwarię i Grójec. W ten sposób skrzydła niemieckich pozycji w rejonie Warszawy zostały złamane, a potężne zgrupowanie pancerne znalazło się na tyłach wroga. Widząc beznadziejną sytuację Niemcy podjęli decyzję odwrotu z Warszawy.

Wrogowi nie udało się jednak uciec bezkarnie. Żołnierz polski, rozpoczynając 16 września działania zaczepne, dogonił i dobył wroga.

Główne zgrupowanie 1 armii, ze względu na znaczne oddalenie od stolicy, nie odegrało w bitwie większej roli. Wyzwolenie Warszawy przypadło zgrupowaniu północnemu (2 dywizji) oraz przeznaczonym początkowo do obsady linii Wisły i związania nieprzyjaciela 6 dywizji piechoty i 1 brygadzie kawalerii. Siły te wprost od wschodu przez zamarniętą rzekę ruszyły i wyzwoliły stolicę.

Zaszczyt pierwszeństwa przypada ulafskiemu plutonowi chor. Hałasa i ppor. Zakrzewskiego z 2 i 3 pułku ulanów z 1 brygady kawalerii, które 16 stycznia o godzinie 14.00 sforsowały Wisłę na południe od miasta; w ślad za nimi przeprawiła się cała brygada. Pół godziny później, o 14.30, pod Kępą Kiepińską sforsował Wisłę 2 batalion 4 pułku, zaś do wieczora on i inne oddziały 2 dywizji wyzwoliły Łomianki i Buraków, uzyskując podstawy do natarcia od północy. Po zapadnięciu zmierzchu do akcji wkrocza 6 dywizja, obsadzająca Pragę. 14 pułk piechoty przechodzi po lodzie Wisłę, do świtu zdobywając Wilanów i Siekierki w obecnej dzielnicy Warszawa — Mokotów. Również w nocy 3 batalion 16 pułku zdobywa część Sękierki i dociera do ul. Czerniakowskiej.

W ten sposób zawiązuje się bezpośredni bój o Warszawę. Zaskoczeni Niemcy stawiają chaotycznie opór, raz po raz kontratakując piechotą i czołgami. Żołnierze polscy nacierają jednak niepowstrzymanie. Jeszcze przed świtem 2 dywizja piechoty, wzmocniona 18 pułkiem z 6 dywizji, rozpoczyna szturm w kierunku Bielani i Żoliborza. Przeciwnacząc Niemcy powstrzymują na krótko w Łasku Bielańskim oddziały, Polacy jednak niszczą przeciwnika i wdzierają się w głąb miasta. Po krótkich walkach zostaje wyzwolony Żoliborz i Powązki, wróg stawia jednak twardy opór w Cytadeli. 6 pułk szturmuje starą twierdzę, a 1 batalion 16 pułku z 6 dywizji przeprawi się przez Wisłę i naciera na Cytadela. Niemieckie zgrupowanie zostaje zniszczone.

Równolegle trwają działania w centralnych i południowych dzielnicach miasta. Śródmieście wyzwalały siły główne 16 pułku. Jego 3 batalion od rana naciera od strony Czerniakowa, zaś 2 batalion przeprawi się przez Wisłę na Powiśle. Do większego boju dochodzi u zbiegu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata; Niemcy kontratakują tutaj wsparciem czołgami, lecz Polacy gromią wroga i wyzwalają całe Śródmieście. 14 pułk oczyszcza z nieprzyjaciela Mokotów i posuwa się na Ochotę. Wreszcie najbardziej południowe części miasta, rejon Służewca i Królikarni, zostaje wyzwolony przez kawalerzystów 1 brygady.

17 stycznia po południu Warszawa jest wolna. Nadciągają nowe jednostki wojska, najbardziej typowy jest jednak inny ruch. To do miasta zaczynają wracać gromadnie wypędzeni przez wroga mieszkańcy. W nocy z 17 na 18 stycznia w niejednym domu, za wypalonymi oknami migotliwie palą się świeczki; pierwszy znak życia na gruzach Warszawy.

Leszek Moczulski

N AJGORZEJ się do czego przyzwyczaić. Ja przyzwyczaiłem się do Warszawy, miałem prawo, bo tu się urodziłem. Ale mogłem się i odzwyczaić i nie by z tego nie wyszło. Kiedy Warszawy nie było, a ja wróciłem z dalekiego świata, otwierała się przede mną olbrzymia skala możliwości. Był tam i Lublin. No, przecież Lublin miał kawiarnię Rutkowskiego, Krakowskie Przedmieście, Podwale (prawdnie nie Podwale jak w Warszawie, ale i w Warszawie nieraz się mówiło Podwale), plac Unii Lubelskiej, Zamek i Stare Miasto. Więc od biedy mogłoby być.

Po pierwsze w Warszawie z początku nie zawsze mogłem trafić. Ulice, ostatecznie, poznaje się po elewacjach. A elewacji nie było. Nie mogłem też odnaleźć rodziny i nie spotykałem znajomych, więc sądziłem, że ich tu również nie ma. Tyle spotkałem w różnych stronach świata, że sądziłem, iż wszyscy są gdzieś tam i żadnego tu. Tłum co prawda na ulicach był jakiś znajomy, chociaż ubrany inaczej, niż pamiętałem.

I płatałem się jak biedna sierota w wytartym mundurze, poszedłem do Czerwonego Krzyża, gdzie dano mi 100 złotych, kartkę na zakup i na noclegi, zarejestrowano i powiedziano, że na razie nikt mnie nie szuka.

Tak się działo, kiedy postyżołem na Marszałkowskiej dziwki pian-

na. Sterczały jakieś zwaliska groźnego dalszym zawaleniem, a poniżej tej ruiny, było wejście i z tego wejścia dźwięki. Wszedłem i zobaczyłem: Fogg przy fortepianie, na bufecie bulgocze kociolatek, z którego roznosi się jakiś znajomy zapach. Okazało się, że to był prawdziwy krupnik ze spirytusu, miodu i korzeni, a kawiarnia nazywała się Cafe Fogg! Dokoła sami znajomi, albo tacy, których mogłem znać. O, jakże Fogg

wprost w przepaść. Jednak tam się tylko spało, mieszkało się u Fuchsa. Albo, jeśli człowieka zaniosło na bezludzie Krakowskiego Przedmieścia, na sam skraj ciemności i pustki, to można było znaleźć oazę: Karcznię Rzym. Znakomity poeta i żołnierz prowadził tam mazura.

Powoli, a raczej szybko, Warszawa obrabiała dokoła mnie. Ponieważ byłem tego świadkiem, a w jakiejś części i współuczestnikiem, więc

także kobieta brzydka, za którą duszę by człowiek oddał. Jeszcze bliższa mi jest z przeszłości ta druga Warszawa — w gruzach.

Muszę przyznać w sekrecie, że w Warszawie w gruzach dobrze się żyło. Panował bowiem nieporządek. Człowiek miał pieniądze wyłącznie na przyjemność. Nie obciążały go serwisy takie jak mieszkanie, meble i ubranie. Mieszkania nikt

czekać na pieniądze. Jest bowiem dyscyplina finansowa, główny księgowy i porządek. Wówczas, człowieku, za tobą ponili z pieniędzmi i dawali zaliczkę. Brakowało bowiem ludzi. Księgowy też byli, ale jacy! Pamiętam — do naszej redakcji przyszedł księgowy z Poznania. Mawiał: „buchalter jest barometrhem i termometrhem interthesu”. A potem tak się zdemoralizo-

POCHWAŁA NIEPORZĄDKU

Marek Sadzewicz

śpiewał i co śpiewał! Właśnie dla takich jak ja. O tęsknocie, tułaczce wojennej i powrocie. A to był czas powrotów. Potem Fogg powrócił na estradę, a ja umocowałem się u Fuchsa. Na Mokotowskiej, obok domu Kraszewskiego, długa salka z bufetem. Spotykało się tam wszystkich. Tam się siedziało, jadło i pito. Ciemno, drogo i dość brudnawo, wszystkie warunki, żeby się czuć dobrze.

Tymczasem odnalazłem rodzinę, przywoziłem żonę i zamieszkałszy naprzeciwko Fuchsa na IV piętrze wypalanej kamienicy. Bardzo ładny ny pokój, trzeba było tylko uważać, żeby nie pomylić drzwi. Jedne prowadziły na schody, a drugie

dzisiejsza Warszawa jest nie mniej moja niż było przed wojną. Jeśli wyjeżdżam, nawet na jakąś najbardziej atrakcyjną zagranicę, to po pewnym czasie zaczyna mi się śnić mój stolik w „Switeziance”, albo „u Marca”, redakcja, ludzie i tak dalej, jednym słowem — miasto.

W Warszawie zaczynam dzień od kawy i fajki w kawiarni i marzę o dniu, który właśnie zaczynam, co mi też przyniesie.

A ciągle wracają wspomnienia. Pamiętam Warszawę przedwojenną. Ach, mój Boże, miasto mojej młodości, miłości, miasto podobno brzydkie, ale przecież zdarza się

nie miał, więc odpadało komorne, gaz i elektryczność. Ubranie jakieś na karku, stary mundur albo co, a jeśli się zdarło, to dawali inne. Mebli też się rzeczy nie trzeba było. Zupę albo kaszę dostawoło się w miejscu pracy. Poza tym panowała ogólna dezorganizacja i można było dostać wszystko i na każdym kroku. Jakież to były restauracyjki, barki, kawiarenki z lososiem i węgorem. A gdzie dzisiaj dostanę lososia i węgorka? Ciekawo jestem, w jakim lokalu dostanę porzącego krupnika z korzeniami?

O pieniądzu też było łatwo. Teraz trzeba pracować i długo, długo

wał, że urzędował w barze „Styl”, tam wypłacał i robił rachunki, a w końcu ożenił się z barmanką.

Od czasu do czasu wybuchła gdzieś mina, dom się zawalił ludziami na głowy, zastrzelono kogoś na ulicy, to znów ktoś zniknął, nie wiadomo gdzie. Ci jednak, co zostali, żyli bujnie.

Nieporządek, oto co nas trzymało! I dziś też jeśli zrobić porządek w szufladzie, to niczego potem nie znaję i okaże się, że najważniejszy papierek wyrzuciłem. Więc nigdy tego nie robię, pływam w nieporządku. To on mi służy, a nie ja służyć porządkowi w szufladzie.

ODBUDOWA

JUTRO

Wiem, rolniesz tam sileczna i z każdym dniem madraszka. Czy będziesz szczęśliwa? Dorosniesz i osiągniesz wszystko, co zamierzasz. I tylko — jednego Ci zabraknie. Zabraknie ci tego, że nie uprzatniesz choć jednej cegły ze zburzonych ulic Twego miasta, że choć jednej cegły nie położysz w odbudowującym się Twoim mieście. Jak czynią to warszawskie dzieci, bez Ciebie, które nie ma z nimi. Joasia córka koleśka...

Ewa Szalburg-Zarembina "Lista do chrześcijańskich"

KATAKLIZM, który przetoczył się nad Warszawą, zamieniając w bezkształtne rumowisko dobrobyt kulturowy siedmiu wieków i licznych pokoleń, nie miał sobie równego w dziejach naszej historii. Ciosy zadane miastu z tą samą bezwzględnością godziły i w jego mieszkańcach. Los przyniósł jednym zagładę wśród ruin walczące stolicy, innych prowadząc przez całą kaganadę wojennej tułaczki i poniewierki — rzucił w daleki świat. Rozproszył się po całym kraju i poza jego granicami dawni warszawianie, a gdy nadstąpił dzień wyzwolenia nie wszyscy mogli wrócić, by uprzatnąć choć jedną cegłę ze zburzonych ulic swego miasta, choć jedną cegłę położyć w odbudowującym się mieście — właśnie tak, jak pisała w swoim „Liście” kierowanym do pozostałych na obczyźnie rodaków znakomita polska pisarka, Ewa Szalburg-Zarembina.

Czas jednak wykazał, że ludzi, którym zabrakło też co zabraknąć Joasi — bohaterce listu, było naprawdę bardzo niewiele. Nie chodziło przecież wyłącznie o prace bezpośrednie. Swój „cegiełkę” można było dołożyć tysiącem innych sposobów. Bo oto szybko i samorzutnie zawiązały się łańcuchy czynu ludzi dobrej woli, ofiarnych społeczników, szlachetnych z pomocą Warszawie i jej mieszkańcom. Ze wszystkich stron Polski napływały zaczęły dary w gotówce i w naturze.

W akcji tej przodowała Śląsk. Tutaj również już w dniu 8 maja 1945 roku na posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach powołano pierwszy w kraju Obywatelski Wojewódzki Komitet Odbudowy Warszawy.

Samorzutna, wielkiej wartości moralnej ofiarności świadcząca o serdecznym stosunku społeczeństwa do swojej zniszczonej stolicy. Było jednak rzeczą oczywistą, że wobec ogromu potrzeb związanych z odbudową poważniejsze środki materialne można uzyskać jedynie w drodze dobrej zorganizowanej, obejmującej cały kraj akcji społecznej.

Konieczność skoordynowania wysiłków, mających na celu pomoc Warszawie, pierwszy zrozumiał robotniczy Śląsk. Powstanie w Katowicach (na posiedzeniu WRN w dniu 8 V 1945) pierwszego w kraju Obywatelskiego Wojewódzkiego Komitetu Odbudowy Warszawy i jego pionierska a niezwykle skuteczna rola organizacyjna stały się dla całego kraju przykładem do naśladowania.

Ogólnonarodowe znaczenie odbudowy stolicy podkreślone zostało przez władzę ludową wydaniem dekretu, powołującego do życia w maju 1945 roku Naczelny Rząd Odbudowy m. st. Warszawy, która miała m. in. za zadanie mobilizację zasobów duchowych i materialnych całego narodu do dzieła odbudowy stolicy.

NROW rozpoczęła swą działalność w styczniu 1946 roku. Na jej czele w tym czasie Prezydium podjęto uchwałę o konieczności utworzenia komitetów odbudowy m. st. Warszawy w skali wojewódzkiej, miejskiej i powiatowej w Polsce. Komitety te miały nosić charakter instytucji społecznych, opartych o rady narodowe oraz administrację państwową, bądź samorządową, organizując swą działalność pod hasłem Cały naród odbudowuje stolicę Polski — bohaterką Warszawy. Przyjęta rezolucja dotyczyła tak ważnych spraw, jak stworzenie „Społecznego Funduszu Odbudowy Stolicy”, opartego na zasadach dobrowolności i powszechności ogółu, i uznanie miesiąca września 1946 r. jako „Miesiąca odbudowy Warszawy” w całym Polsce.

Zgodnie z przyjętymi wnioskami organizacyjnymi Sekcja Darów i Ofiar przy Biurze Prezydiów Zarządu Miejskiego (do której przesyłane były w okresie początkowym wszelkie dary dla Warszawy) przemianowana została na Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, wraz z nią przewidziane zostały jej konta bankowe na konto SFOS.

Posunęła się również praca organizacyjna w terenie: za przykładem województwa śląskiego powołano zostały komitety wojewódzkie oraz miejskie w Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Lublinie, Wrocławiu i Szczecinie.

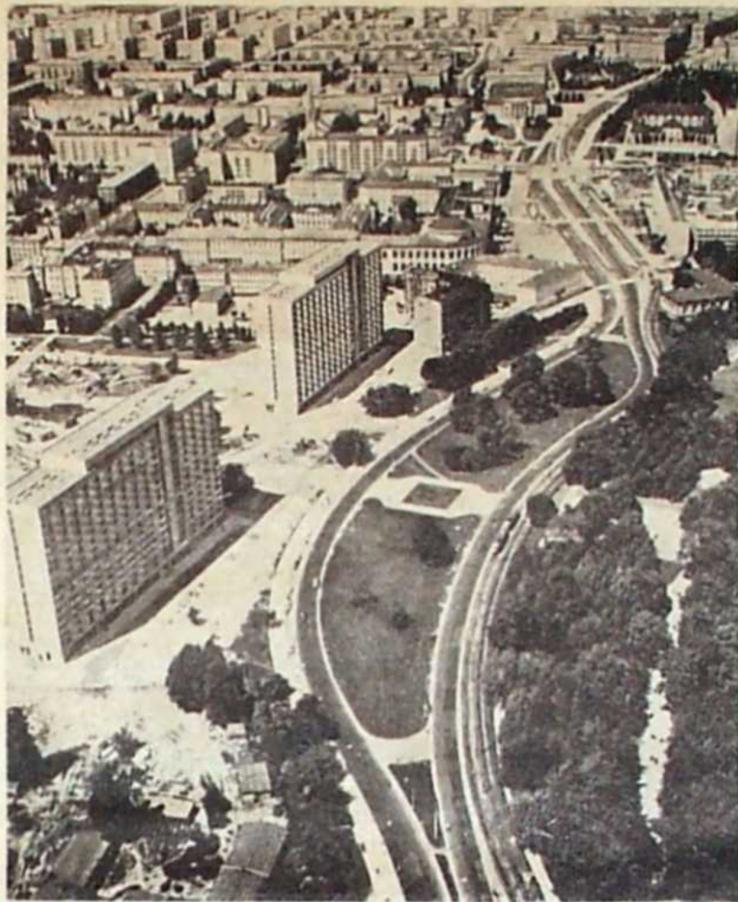
Dzień 23 lipca 1948 r. przyniósł otwarcie mostu Poniatowskiego, inwestycji — jak na ówczesne możliwości — oszczędnej, a ufundowanej w dużym stopniu właśnie ze społecznych składek. To był ważny argument na rzecz udowodnienia społecznej ofiarności.

Pierwszy „warszawski wrzesień” miał duży wpływ — przez unaczynienie społeczeństwa wartości i potrzeby wsółdziałania w odbudowie stolicy — na ro-

nane tempo orzaniaowania komitetów odbudowy Warszawy w całym kraju.

Pod koniec roku 1948 działało już w kraju 1600 komitetów i kół O. W. i roku 1947 liczba ta wzrosła do 6130.

W listopadzie 1946 roku powołano w Warszawie bedacy odpowiedzialnym komitetów wojewódzkich. Stołeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. W tym czasie (w myśl postanowien NROW przyletych na II sesji NROW w dniu 21 lipca 1946 roku, mówiących o ulepszeniu tygodnika „Skarpa Warszawska” oraz stworze-



Śródmieście Warszawy w 1963 r. — z lewej osiedle Za Żelazną Bramą

niu nowego, dobrego pisma dla akcji oraz intensywniejszego i pozytywnego propagowania dzieła odbudowy Warszawy) „Skarpa Warszawska” została ostatecznie przekształcona w nowe pismo: warszawski tygodnik ilustrowany „Stolica”. (Tygodnik „Stolica” był organem Naczelnej Rady Odbudowy Warszawy od grudnia 1953 roku włącznie, później pismo przejęła RSW „Prasa”).

Współdziałanie odbudowy stolicy i kraju wynikała z tego również rzeczonego faktu, że część uzyskanych z ofiarności społecznej kwot przeznaczano na odbudowę innych zniszczonych miast: Wrocławia, Poznania, Gdańska, Olsztyna, Grudziądza, Białostoku i in. To fundusze SFOS zapoczątkowały odbudowę zniszczonego Jastu w woj. rzeszowskim, umożliwiła wznieście tu nowej szkoły, słońka dla dzieci, domu starców bursy, pomnika Kościuski. Ze składek SFOS odbudowano zabytkowy ratusz lubelski, teatr w Wrocławiu i Szczecinie, wzniesiono Dom Dziecka w Katowicach, dziełce sanatorium w Rabce oraz pomnik „Czynu Powstańczego” na Górze św. Anny.

SFOS mobilizowało nie tylko do akcji gromadzenia środków finansowych na odbudowę, ale również i do bezopóźnienia pracy społecznej przy odgruzowaniu i porządkowaniu Warszawy.

Stołeczny Komitet SFOS w porozumieniu z warszawskimi zakładami pracy organizował akcję odgruzowania Starego Miasta i innych dzielnic, a z czasem włączył społeczny trud tysięcy rąk do prac związanych z budową Parku Kultury i Wypoczynku na Powiślu, Stadionie X-lecia i wielu innych obiektów służących ogólnemu dobru.

Akcja czynów społecznych przybierała szczególnie na sile w okresie września — miesiąca odbudowy, a później — budowy Warszawy, przekształconego z czasem w „Warszawski Wrzesień”. I można powiedzieć, że przetrwała po dzień dzisiejszy, choć zmieniły się jej formy i ramy organizacyjne.

Kwoty zbierane corocznie na SFOS świadczyły wyraźnie o rozszerzeniu zasięgu pracy i pogłębianiu jej nurtu: rok 1946 — 6 milionów złotych, 1948 — 58 milionów zł, 1950 — 105 milionów, 1956 — 228 milionów, 1964 — 764 miliony! Ogółem do końca 1965 roku zebrano blisko 5 i pół miliarda zł (około 10.160 różnorodnych inwestycji w dziedzinie kultury, oświaty, zdrowia, gospodarki komunalnej, sportu, wypoczynku masowego i turystyki).

Wartość moralna tego społecznego prezentu dla własnej ojczyzny przewyższa wielokrotnie te liczby bezładnie! Akcja SFOS ogarnęła bowiem nie

tylko dorosłych, ale i młodzież szkolną, nawet dzieci. W setkach szkolnych kół „Odbudujemy Warszawę”, rozsiadanych po całej Polsce, uczyli się pracy społecznej mali, a później coraz więcej i czynniejsi aktywiści.

Nie bez trudu nazywano SFOS „mecenatem zabytków”, skoro sfosowski zlotówki ofiarne hojnie na odbudowę narodowych pomników — a między nimi warszawskich pałaców, pomników Wilanowa, Starego Miasta. Jednocześnie strumień społecznej ofiarności zasłala również budowę Trasy W-Z, mostów, Filharmonii Warszawskiej oraz szkół, internatów, domów kultury, ośrodków zdrowia klubów młodzieżowych, pracy i kulturalnej, świetlic itp. obiektów na terenie całej Polski.

I Krajowy Zjazd Delegatów SFOS w czerwcu 1958 r. przekształcił SFOS w Społeczny Fundusz Odbu-

dy Kraju i Stolicy. Nowa nazwa świadczyła o nowej skali zadań, o rozszerzeniu terenu zasadniczego działania z 450 km kw. obszaru miasta Warszawy na 312 tysięcy km kw. całej Polski. Oznaczała inną niż dotychczas rozdzielność funduszy na inwestycje (75 proc. na inwestycje terenowe) i 25 proc. na fundusz centralny), włączenie się do ogólnokrajowej akcji wzmocnienia tempa zagospodarowania Ziemi Zachodnich i Północnych, stwarzania nowe prerogatywy komitetom wojewódzkim SFOS.

O roku 1958 SFOS wkroczył w lata „dojrzałości” i pełnego rozwoju, zwiększając poważnie swój dorobek społeczno-wychowawczy, organizacyjny i inwestycyjny. Dążenie do powszechności i stałości świadczeń, przestrzeganie zasady dobrowolności (warunek niezbędny z punktu widzenia wychowawczego) — stanowią nadal trzy nierozłączne cechy organizacji, która objęła orientacyjnie około 8 milionów obywateli.

W tym miejscu warto zaznaczyć, że kierownictwo SFOS (jedyny i pierwszy tego rodzaju form inwestycyjnej samopomocy na tak wielką skalę) od zarania znajdowało się w rękach samych rękach. Od roku 1945, jako przewodniczący komitetu Wykonawczego Naczelnej Rady Odbudowy m. st. Warszawy, kierował SFOS-em ówczesny minister, a obecnie Marszałek Polski i Przewodniczący Rady Państwa inż. arch. Marian Spychalski, następcie, od I Krajowego Zjazdu SFOS w czerwcu 1958 r. godność przewodniczącego Rady Głównej SFOS.

13 stycznia 1966 r. Nadzwyczajny Krajowy Zjazd Delegatów Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy SFOS podjął uchwałę o zakończeniu swojej ponad 20-letniej działalności. Jednocześnie został także rozwiązany Społeczny Fundusz Budowy Szkół, a na miejsce tych dwóch zasłużonych organizacji powołano Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów, który przejął aktywa SFOS-u.

W księdze historii odwrócona została jeszcze jedna karta, zamykająca kronikę dwudziestu lat dobrej społecznej roboty. Ponad 10 tysięcy inwestycji stanowi dorobek, którego wartość można oszacować w złotych-kach, wartości niewymierna są natomiast ludzie, którzy tutaj działali. Poza sumiennością, energią, sprawnością organizacyjną, wnieśli oni jeszcze coś więcej — serce. Dzieki niemu żywa społeczna więź między stolicą i całym krajem znalazła wyraz konkretny i powszechny.

Krystyna Krzyżakowa

ZACHOWUJĄC swe dane, przetrwane do dnia dzisiejszego, w archiwum i pamięci historycznej, Warszawa odznacza się inną niż ta, którą kształtowało siedem następujących stuleci. Śmiało plany dojrzały, skrytykowane, ale i wzmianki w zamierzeniu realnie rysujące obraz miasta lat najbliższych i tych perspektywicznych po rok 1983.

Warszawa w tym okresie docelowym liczyć ma orientacyjnie 1500 tys. mieszkańców, a jej strefa podmiejska 80 tys. mieszkańców. Za podstawowe zadanie przyjęto zapewnienie dalszej poprawy warunków mieszkaniowych dzięki realizacji nowego budownictwa, modernizacji starych zasobów mieszkaniowych oraz ostatecznej likwidacji pomieszczeń o złym stanie technicznym wykluczającym modernizację.

Zakładana poprawa wskaźników powierzchni użytkowej i gęstości zaludnienia oraz podniesienie standardu mieszkań w przeliczeniu na jejich realia oznacza wybudowanie około 150 tys. mieszkań.

W okresie perspektywicznym przewiduje się główną koncentrację budownictwa mieszkaniowego na terenach nowych, takich jak: na Mokotowie — Służewie Wschodnim, Służewie Środkowym, Natolin; na Pradze Północ — Bródno oraz (to rezerwa) Tarchomin i Henryków; na Pradze Południowej — rejon Międzynarodowej, Ateńskiej, Ostrobramskiej i Kepa Grochowska; na Żoliborzu — Wawrzyszew, Chomiczowska, Piaski, Marymont.

Główne rejonu przebudowy starych zasobów mieszkaniowych obejmują tereny Targówka Mieszkaniowego, Śmiałowski, Powiśle, centrum Grochowa oraz rejonu ul. Grochowskiej i Targowej.

Nie mniej ważny czynnik w poanulowaniu się poziomu życia człowieka stanowi — obok dobrego mieszkania — odpowiednie zaspokojenie potrzeb w dziedzinie zaopatrzenia, usług (szczególnie komunikacji) i wypoczynku. Należy się spodziewać wygórowania dysproporcji w warunkach życia, jakie dają się zaobserwować obecnie pomiędzy poszczególnymi dzielnicami Warszawy, a także i pomiędzy samą Warszawą a miastami strefy podmiejskiej.

Ośrodki usługowo-społeczne tworzone będą na zasadzie zróżnicowania charakteru poszczególnych skupisk, które mają obsługiwać. Powstaną więc tzw. ośrodki zespołów osiedli mieszkaniowych (zobowiązując 20 do 30 tys. mieszkańców) na Żoliborzu w rejonie pl. Komuny ul. Reymonta, na Woli w rejonie ul. Wołoskiej i Miłyńskiej oraz w rejonie Górcewskiej i Deotymy, w Ochocie — przy ul. Grójeckiej oraz w Włochach — przy ul. Chrobrego, na Mokotowie — na Sadybie (rejon Sobieskiego), na Sieniech i Wierzbnie, na Pradze Południowej — na Bródnie przy ul. Kondratowicza oraz przy ul. Kotowej na Targówku. Oprócz tych ośrodków, związanych z istniejącymi lub realizowanymi obecnie dzielnicami, powstaną nowe — dla projektowanych w okresie perspektywicznym dzielnic mieszkaniowych.

Role ośrodków najwyższego rzędu powinno spełniać wyodrębnione usytuowane centrum miasta, którego główną funkcją mają być urzędnicze usytuowane o ogólnomiejskim i krajowym zasięgu. Ono również stać się ma głównym czynnikiem integrującym społeczność programu — swobodnym wzorem najszerszej pojętej, służącej realizacji społecznych i indywidualnych potrzeb.

Podkreślonych studiach nad możliwości lokalizacji centrum na ile układu Śródmieścia Warszawy zdecydowano się na wybór rejonu pomiędzy Nowym Światem i Żelazną oraz Królewską i Koszykową.

Konieczność zapewnienia priorytetu komunikacji masowej i segregacji ruchowej, pozwalających na stworzenie w obrębie centrum dogodnych warunków dla pieszych — wymaga przebudowy i usprawnienia obsługi komunikacyjnej centrum w oparciu o istniejącą i nieistniejącą oraz projektowaną stację Szybkiej Kolei Miejskiej pod ul. Marszałkowską.

Juz dzisiaj niezwykle atrakcyjnie prezentuje się zespół domów towarzyszących „Centrum” na Ścianie Wschodniej („Junior”, „Saxa” i „Wojniak”) z trójki „Wars” i „Wojniak”) dom towarzyszący „Saxa”, spóźniony dom towarzyszący „Saxa”. Obiekty mniejsze, jak bar szybkiej obsługi i kawiarnia „Zodiak” czy winiarnia „Amfora” — również zaliczyć wypadają do udanych

„pierwszych jaskółek”, zapowiadających nie tyle wiosnę, ile wiosnę przyszłą, na pewno jeszcze nowoczesniejszych rozmiarów.

W zakresie funkcjonalno-programowym przewidziano powstanie centrum z ośrodkiem „podmiejskim” — praktycznym, sfinansowanym w rejonie portu praskiego. Realizacja tego ośrodka wymaga będzie zasadniczej przebudowy otoczenia, przeznaczoną na placówki usługowe handlowo-gastronomiczne oraz o charakterze kulturalnym. Obecnie bezpodważalnym świadectwem starości Stadion X-lecia, a w przyszłości, projektowane wesołe miasteczko oraz obiekty rozrywkowe, gastronomiczne i sportowe.

Rozbudowa prawobrzeżnego centrum usługowego z jednoczesnym wytworzeniem na Powiślu usług ogólnomiejskich i urządzeń sportowo-rozrywkowych odcie miały jeszcze jeden niezwykle pozytywny i korzystny aspekt. Pozwoli na podwyższenie centrum z Wisłą i praktycznie zbliży te krótkie polskie rzeki do naszego miasta (obecnie wciąż jeszcze słusznie uważamy się na fakt, że „Warszawa odwróciła się plecami do Wisły”).

I trzeba też pamiętać, że myślenie się ogólnie ten, kto chciałby uprzywilejować w nowych założeniach niebezpieczeństwo dla wartościowych zespołów urbanistycznych. Zostaną one aspirowane.

Warto też dodać, że w koncepcji przestrzennej i funkcjonalnej centrum wyeksploatowane będą ciągi piesze prostopadłe do ul. Nowy Świat i skąpy warszawskiej (szczególnie atrakcyjny układ architektoniczno-urbanistyczny zabudowania ulicy w rejonie kompozycyjnego centrum).

Skoro już wiemy, gdzie będzie mieszkać i zaspokajać swoje potrzeby żywo tworzących ją, zwracamy się z koleśkimi prośbami.

Prognoza bilansu zatrudnienia to problem wcale złożony. Konieczność zapewnienia prawidłowego rozmieszczenia sił wytwórczych w kraju, a jednocześnie wzrostu zaspokojenia potrzeb ludności aglomeracji stołecznej — wymaga przyjęcia zasady ograniczenia wzrostu zatrudnienia w Warszawie, przez ograniczenie wzrostu zatrudnienia nie tylko w samej stolicy, ale i na całym obszarze Warszawskiego Zespołu Mięjskiego.

Przyjęto, że liczba dojeżdżających do pracy do Warszawy pozostanie do roku 1983 bez zmian i wynosić będzie około 250 tys. osób. Na ogólną liczbę zatrudnionych w Warszawie będzie 930 tys. osób; w przemyśle pracować będzie 260 tys., w budownictwie 74 tys., w transporcie i łączności 79 tys., w rolnictwie i leśnictwie — 20 tys., a w pozostałych dziedzinach gospodarki narodowej — 497 tys. osób (w tym w gospodarce komunalnej i mieszkaniowej — 70 tys., a w planach oświaty, nauki i kultury — 118 tys. osób).

Juz od 1965 r. Warszawa objęta została akcją dyplomacyjną, a kontrolowany wzrost zatrudnienia w przemyśle stołecznym z 310 tys. zatrudnionych w roku 1965 sięgnie około 260 tys. osób w roku 1983.

Jeśli chodzi o specjalności, to dominować będzie przemysł elektromaszynowy, a w szczególności: elektrotechniczny, elektroniczny, motoryzacyjny, maszyn budowlanych, atomycki przemysłowej, optyczny, precyzyjnych obrabiarek.

Po pracy pora myśleć o wypoczynku. Podstawową rolę pełnić będą dziedzinowe, wielofunkcyjne ośrodki wypoczynkowe, łączące zieleń parkową, ogólnie dostępne tereny sportowe, zespoły urządzeń kulturalno-rozrywkowych i urządzeń gastronomicznych, co zapewni intensywnie wykorzystanie tych ośrodków w okresie całego roku. Do 1973 r. przewiduje się dalszą budowę, m. in. ośrodków Kepa Potocka, Park Moczyłowski, Sześciłłowice, Sikierniki. W centralnym obszarze przewidziano rozbudowę śródmiejskiego zespołu rekreacyjnego na obu brzegach Wisły.

Za tereny szczególnie predestynowane dla wypoczynku podmiejskiego przyjęto zostały obszary Zalesia Zegrzyńskiego. Opolem na obszarze strefy wypoczynkowej w okresie perspektywicznym trzeba zapewnić około 400 tys. miejsc.

Statystyczny warszawianin jutra nie pewno chętnie będzie z nich korzystał, jeśli specje od komunikacji werną pod uwagę fakt, że według hipotezy motoryzacyjnej na 1980 mieszkańców przypadnie w okresie perspektywicznym tylko (czy aż tyle!) 180-200 samochodów i 25 motocykli.

Krystyna Krzyżakowa

Konstanty Idefons Gałczyński

Wieniec dla Warszawy

(Fragment)

O, robotniczy grodzie Szopenowski, wszystkich miast polskich latarnio i gwiazdo, tobie ja śpiewam i te nuty piszę, wysokie, ale chciałbym jeszcze wyżej. Niechaj twe dzieł szumia jak rój pszczoł w nowych zieleńcach, niech rosną beztroško, a ci, co się w tych murach zestarli, niechaj na spacer chodzą Marszałkowska; stolicę, w słońcu, w deszczu, w śniegowej białej, ty w moich wierszach zawsze będziesz wiosną i twoje oczy zawsze mnie zachwyca, Warszawa, śpiewająca robotniczo.

Gdy wieczór mury najdroższe ogarnie, jak miło z córką przejść po Nowym Świecie! Oto latarnie świecą na księżarnie, goździki się czerwienią, księżka świeci, ponad domami niebo w modrej barwie zaraz pochodnie swoich gwiazd roznieci. Szmer wieczorne popłyną do ucha. Na mostach rzęki wiatr wesoło dmucha.

O, jak przestronnie teraz jest nad rzeką po pracowitym dniu, gdy cichnie turkot, kiedy szeroko płyną i daleko myśli i myślam leżko jak jaskółkom; pójdziemy teraz na plac Dzierżyńskiego, tam, gdzie ta mewa leci, widzisz córkę? O, tą ulicę. Stąd już droga prosta. Weź ten czerwony goździk. I tam zostaw. 1951

Krystyna Krzyżakowa

Dla matych i wielkich dzieci

Maria Bechcyc-Rudnicka

A WIĘC to już 15 lat. Piętnaście lat od czasu, gdy dzisiejszy Państwowy Teatr Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena rozpoczął stałą, regularną działalność we własnej siedzibie przy ul. Klonowicza, w malowniczym zakątku lubelskiego Starego Miasta.

Zaiste przejmująca jest myśl o tym, jak wyrosli przez ten czas widzowie, którzy przyglądali się perypetiom „Złotej kuli” A. Ejsmunda na premierze 6 grudnia 1954 roku. Ten i ów jest chyba studentem, ba, może magistrem, nawet doktorem ważnych nauk, albo też odpowiedzialną osobą w arcyważnej instytucji. I jeśli po latach zawita kiedyś do najmniejszego teatru Lublina, to już w charakterze asysty swojej z kolei pociechy, reprezentującej następne pokolenie!

Po chwili sentymentalnej, usprawiedliwionej w warunkach jubileuszowych, przejdźmy jednak do konkretnych.

Przedo wszystkim tedy pragnę zaznaczyć, iż wysoką rangę artystyczną placówki kulturalnej, której jubileusz obecnie obchodzimy, zawdzięcza się w dużej mierze zapalowi Stanisława Ochmańskiego, od r. 1958 dyrektora i głównego reżysera Państwowego Teatru Lalki i Aktora. Jedną z głównych zasług S. Ochmańskiego było dobrane odpowiednich współpracowników. Wymieńmy obecnych i z tych, co odeszli — najbardziej oddanych sprawie teatru lalkowego. Dziś w skład zespołu aktorskiego wchodzi: Maria Ejsmund-Lutomska, Zofia Janicka, Halina Lobaczewska (pracowała ona w teatrze przy ul. Klonowicza od r. 1956 do 1960 i po ośmioletniej przerwie powróciła do niego), Liliana Ochmańska, Aleksandra Stawska, Alina Sternik, Wanda Wilhelm (pracowała w latach 1956—58, powróciła w r. 1961), Regina Zaluska, Janusz Fiwowski, Andrzej Józwicki, Wojciech Kobrzyński, Fryderyk Kosmala, Kazimierz Lutomski, Kazimierz Talaaj (pracował tutaj w latach 1959—64, powrócił w r. 1966).

Siedem lat był aktywnym członkiem zespołu Zbigniew Wilczek (który wyróżnił się raz po raz na wojewódzkich konkursach recytatorskich), sześć lat (1961—67) — Andrzej Rohin, którego nazwisko jako energicznego organizatora, kierownika i reżysera teatru UMCS „Gong 2” jest dzisiaj szeroko znane na gruncie teatrów studenckich.

Wszyscy oni są entuzjastami. Ze szczególnym uznaniem wspomnieć trzeba długoletnią współpracę z Teatrem Lalki i Aktora — nie ży-

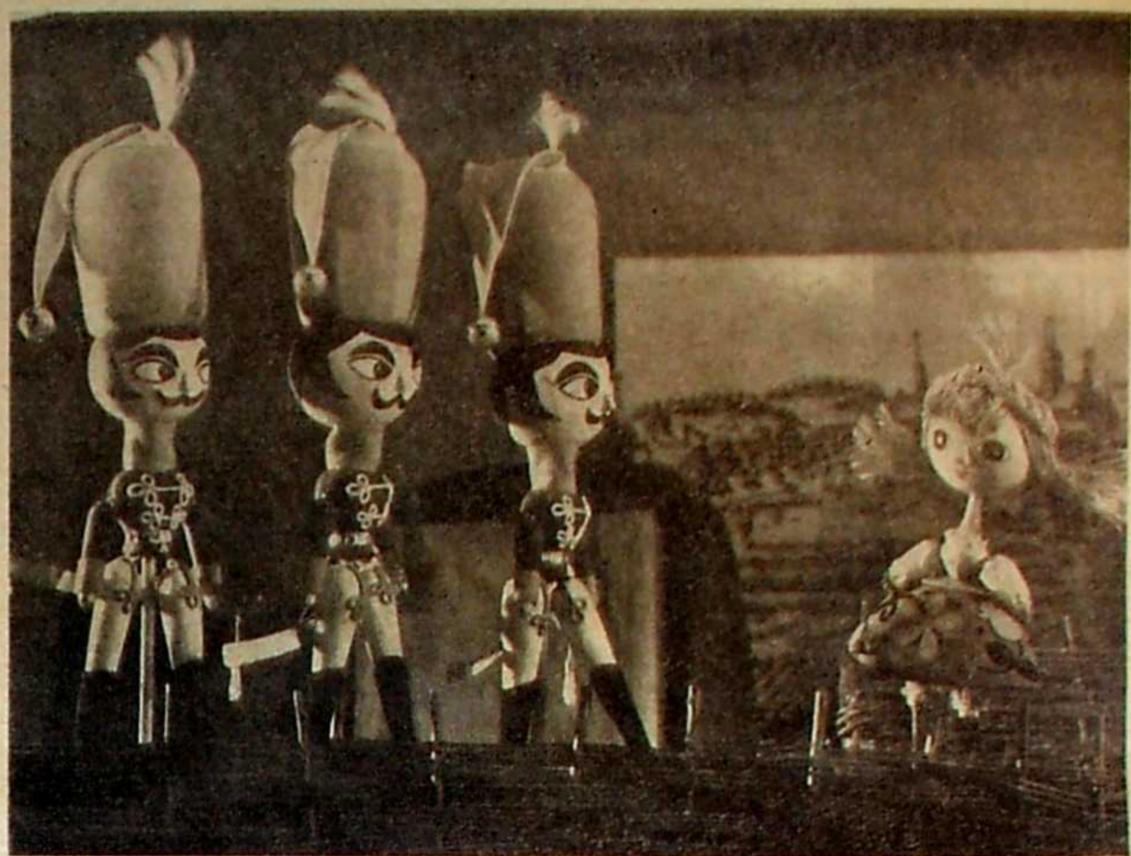
jącego już obecnie kierownika muzycznego Teatru Osterwy, Ryszarda Schreitera. Teatr im. J. Ch. Andersena ceni też bardzo występy na swej scenie tak wybitnych aktorów, jak Aleksander Aleksy i Jan Machulski.

Nie szafuję słowem entuzjasta w euforii jubileuszowej. Człowiek z dyspozycjami do sztuki scenicznej musi być istotnie zapałym wyznawcą tej specyficznej myśli teatralnej, jaką reprezentują teatry lalkowe, by pogodzić się z koniecznością występowania w ukryciu, pod sceną, ukazując się na końcówce okłaski w nieefektywnym roboczym ubraniu, z „bepośrednim” bohaterem granej sztuki — lalką w ręku. Prawdę powiedziawszy, nazwiska ofiarnych animatorów pozostają za ledwie w pamięci nawet recenzentów.

A któż pamięta nazwiska artystów, krawców, mechanizatorów lalek, stolarza, elektryków, maszynistów teatralnych, pracowników administracyjnych i pracowników obsługi — tych wszystkich, których dobra robota składa się na sukces przedstawienia?

Muszę się przyznać, że zaangażowana poczynaniami Teatru im. Osterwy, przez długi czas rzadko odwiedzałam Teatr Lalki i Aktora. Ale od jakichś lat pięć powracam do niego bardzo chętnie. Przyciąga mnie — szczególnie cenne — działania tutaj w tym motem pleciościw, jak np. ze wymienienia na wyrywki, czaruje przedstawienie węgierskiej sztuki „Niebieski pleśk” Gyull Urbana w reżyserii S. Ochmańskiego, który wydobyl maksimum komizmu, lecz i wzruszenia, z tej opowieści o kłopotliwych przygodach pewnego pałaka z owłosieniem koloru nie zaakceptowanego przez jego pałę środowisko. Cóż za wspaniałe nasuwają się tu analogie! Wybitne powodzenie u młodocianej publiczności miały też inscenizacja słynnej bajki Jerszowa „Konik-Garbusek”, odtwarzająca zarówno postać aury utworu, jak jego żywioł humorystyczny. Prawdziwą radość sprawiła dziecom poza tym w ubiegłym sezonie „Bajka o dobrym smoku” L. Dworskiego, w której poczyliwy smok Ciuciło współpracuje z dobrymi ludźmi gwoli triumfu sprawiedliwości. Nie mniej pedagogiczna pozycja był „Bambal w oazie Tongo” Jana Ośnicy. W tym spektaklu z gruntu współczesnym zaszerwanym motoryzacje pod wszelkimi postaciami. Dobrze reprezentowała repertuar przeznaczony dla młodszych dzieci także wesoła komedia Henryka Sappira i Glenadija Cyferowa „Chęć być dużym”, której akcja, tocząca się w świecie zwierząt, niepostrzeżenie wprowadza małego widza w poznanie enot i przywar ludzkich.

Państwowy Teatr Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena wystawił ponad sześćdziesiąt sztuk pięćdziesięciu pięciu autorów, klasyków i współczesnych, z przewagą pisarzy polskich. W spisie repertuarowym za 15 lat znajdziemy m. in. nazwi-



M. Januszewska — „Biwak z przyspiewkami”.

Fot. W. Parys

ska: Marii Konopnickiej, Bolesława Leśmiana, Kornela Makuszyńskiego, Juliana Tuwima, Adama Polewki, Marii Kownackiej, Wojciecha Żukrowskiego, Aleksandra Mallszewskiego, Anny Świrszczyńskiej, Jana Wilkowskiego, Hanny Januszewskiej, z obcych pisarzy — Cervantesa, Andersena, Gogola, Molnara, Michalkowa, Capka, Saint-Exupéry...

O ambijach artystycznych kierownictwa PTLIA świadczy również dobór scenografów, spośród których, poza najczęściej opracowywanymi projektami dla teatru przy ul. Klonowicza, F. Kosmala i Z. Gutkowską, widzimy Henri Poulaina (m. in. scenografia do „Porwania w Tiu-tiurliście” Żukrowskiego), Ali Bunscha (kilkakrotnie), Z. Strzeleckiego, no i arcyministra scenografii miniaturowej — Adama Kiliana. Niezatarłe wrażenie pozostawiła też scenografia do wspaniałej opowieści „O Zwyrtałe Muzykancie” Wilkowskiego, którą opracował w 1953 r. W. Kondek.

Jednym z najlepszych ostatnich spektakli był „Biwak z przyspiewkami” H. Januszewskiej, w reżyserii Edwarda Doszli i scenografii właśnie A. Kiliana. Przedstawienie, jak się mówi — balet, nie kolorowe, pełne wdzięku i dowcipu wizualnego (ta śliczna królewna ze złotą koroną, ten figlarny Kupidynek, złoty kogut na płocie, byk Aspero, „groźny” kot w szkarłatnej szacie, przezbawni dobosze i trębacz).

Za szczytowe osiągnięcie w repertuarze dydaktycznym dla dzieci uważane należy widowisko „To jest Polska” wg scenariusza L. Serafinowicza i W. Wierczkiewicza, wystawione na XXV-lecie Polski Ludowej. Zastosowano tu oryginalny pomysł oparcia scenariusza na specjalnej ankiecie, rozpisanej wśród dzieci szkół podstawowych celem zbadania, jakie posiadają wiadomości o

swe i ojczyźnie, jak się odnoszą do rodziców, o jakiej „marzą” przyszłości. Spektakl lalkowy ilustrowano piosenkami, recytacją wierszy przez aktorów, projekcją fotografii młodocianych autorów odpowiedzi.

Znaczenie pedagogiki teatralnej, uprawianej przez Teatr im. J. Ch. Andersena w zakresie kształtowania smaku artystycznego i pojęć o życiu, ocenimy w pełni, gdy weźmiemy pod uwagę, że teatr ten daje rocznie 150 spektakli w siedzibie oraz 200 w terenie, osiągając liczbę 70 tysięcy widzów.

Ale nie tylko działawie może bawić i wychowywać teatr lalkowy, służy on — powinien służyć — również dorosłym.

Kiedy natychmiast po wyzwoleniu powstał w Lublinie teatrzyk „Bi-Ba-Bo” (który przestał istnieć z chwilą wyjazdu swoich twórców), to w myśl koncepcji organizatorów, zgodnej z poglądami Resortu Kultury i Sztuki PKWN na zadania tej placówki, dyrekcja oznajmiła na afiszu premierowym: „Teatr Kukielkowy „Bi-Ba-Bo” zaprasza dzieci i dorosłych (rozstrzeżenie moje — M. B-R) na zabawne historie „Cwnniaka-spekulanta”, „Smutne losy świni folksdeutscheini”, „But-samo-chód”. A więc twórcy „Bi-ba-bo” i ich protektorzy na pewno dostrzegli, że teatr lalkowy ma przed sobą szerokie pole do działania, z jednej strony jako odrodzony i wzbogacony teatr ludowy, z drugiej — jako eksperymentalny teatr artystyczny.

Te możliwości miniaturowej, portatywnej scenki dostrzega też kie-

rownictwo P. Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena. Wystawiano w tym teatrze niejedną sztukę, które powinny być zainteresować dorosłych. Przytoczę dla przykładu inscenizację „Płaszcz” Gogola (opracowanie Tuwima), Cervantesowego „Don Kichota”, ambitne przedstawienie baletu Prokofiewa „Kopciuszek” (odtworzone w telewizji), średniowieczną farsę „Mistrz Piotr Pathelin”, wspomnianą już opowieść „O Zwyrtałe Muzykancie”, albo i „Ludowa szopka polska” w opracowaniu H. Jurkowskiego. Obecnie Stanisław Ochmański nosi się z zamiarem wystawiania dramatów Oskara Wilde'a, a Brechta „Kaukaske kredowe koło” jest nawet w przygotowaniu.

Radosna atmosfera jubileuszu pobudza mnie do zastanowienia się, czy nie dążyć się, przy poparciu kompetentnych czynników, przekształcić Państwowego Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena w wielki nowoczesny teatr ludowy, gdzie oprócz lalek występowałyby aktorzy w maskach, a nieraz i wewnątrz kilkumetrowych kukiel (jak to zademonstrował niedawno na wrocławskim MFFTS Bread and Puppet Theatre)?

Zasłużony nasz jubilat, mogący się poszczycić sukcesami na wielu festiwalach i spotkaniach (ostatnio w Mediolanie), nagrodzony przez miasto Lublin w 1964 r., a w r. 1969 przez PWRN — za wybitną działalność artystyczną i społeczną, ma do proponowanego wyżej awansu pełne kwalifikacje.

Ech, co za człowiek!

Dokończenie ze str. 1

bie wówczas sprawę, że ludziom baśnie o śpiących rycerzach i Koniuku Garbusku już nie wystarczą.

Ile w tej historii prawdy — nie wiadomo. Może Biedula sam ją sobie na poczekaniu wymyślił? Przecież gawędziarz z niego zawołany. Bywa, siadając za stołem, kieliszkiem wódki do współbiesiadników przepije i zaczyna dowcipami, historiami niezwykłymi sypać jak z rękawa. Już mu wtedy — miejsca przy stole nie starcza, podrywa się nagle z krzesła, odbiega kilka kroków w tył, rozwiera szeroko ręce, to spłata je na piersi, zmienia głos, błyska oczyma, ukrywa twarz w dloniach, a wszystko po to, żeby tym wyraziście, tym pełniej oddać opowiadaną scenę. A potem, gdy wywołany zamierzony efekt, spada spokojnie na krzesło i spogląda z satysfakcją po słuchaczach. A jeszcze, kiedy go ponleste fantazja, pakuje gości do swego samochodu i pędzi do niedalekiej Puszczy Białowieskiej, do rezerwatu żubrów, brnie przez kopny śnieg, podpatruje jelenie, sarny i tarpany. Tamtejsza straż leśna zna go doskonale, pozdrawia konfidencko i spogląda z „otczestwami”, a wtedy Biedula, zadowolony, odrzuca zawadliwie czapkę na tył głowy, rozstawia szeroko nogi i woła ze śmiechem: A co, nie mówiliście? Władza Bieduli rozciąga się na średniej wielkości koczach „So-

wietkaja Bielaruś” i... całą Puszczę Białowieską!

Oto pierwsze oblicze Władimira Leontiewicza.

Nagle jednak Biedula potrafi się przelstoczyć całkowicie. To już nie serdeczny gaduła, kawalarz, brat-lata. To człowiek poważny, głęboko myślący, przewodniczący wielkiego nowoczesnego przedsiębiorstwa rolnego, społecznik i działacz kultury. Znika jego wylewność, zdania, które wypowiada, przestają być upstrzone jedynymi „posłowicami” i „pogoworkami”. Biedula zaczyna wysławiać się jasno, precyzyjnie, jego wypowiedzi mają charakter rzeczowy.

Oto koczoch, któremu przewodniczy: średniej wielkości, położone kilkanaście kilometrów od Kobrynia gospodarstwo mleczno-mięsno-buraczane. Mają tutaj 4100 hektarów ziemi ornej, posiadają 2100 sztuk bydła rogatego, 3 tysiące świń, 600 owiec, 25 tysięcy sztuk ptactwa domowego. Pasieka składa się ze 120 pni pszczelich. Każdego roku sprzedają państwu 3 miliony litrów mleka, ponad 500 ton mięsa i 2—4 tysiące kwintal buraków cukrowych. Od kilku lat nie zaciągają pożyczek na inwestycje. Wystarcza im własnych pieniędzy. Na koczoch składa się 13 wsi, w których mieszka prawie 3 tysiące osób. Ale do koczochu należy 1800 osób. Inni pracują w okolicznych zakładach przemysłowych lub na kolei. Pense nie są oszalałymi wysoki, ale też i nie małe. Szofer zarabia tutaj 120 rubli miesięcznie, zwykły robotnik połowy — 90. A do tego

należy jeszcze doliczyć dochód z własnej, półhektarowej działki przyzgodowej, z krowy, świń i ptactwa domowego. Co roku koczochnicy otrzymują bezpłatny przydział słomy i siana dla ich własnego inwentarza, w ziemi, ci mieszkalcy bliżej centrum koczochu, ogrzewają domy parą z wielkiej kotłowni. Na przybywających do koczochu specjalistów rolnych czekają dwu i trzy-pokojowe mieszkania w nowoczesnych, dwupiętrowych blokach. Wszyscy członkowie są ubezpieczeni, młodzież wybiera się na studia fundowane przez zarząd koczochu. No i wszyscy mieszkańcy korzystają na równych prawach z sieci sklepów i placówek kulturalnych, wznoszonych w każdej wsi.

Centrum koczochu przybierze za kilka lat wygląd niewielkiego, ale za to nowoczesnego miasteczka. Opracowany już plan perspektywiczny przewiduje wybudowanie wokół centralnego placu kilkadziesiąt obiektów mieszkalnych i użyteczności publicznej, uwzględniających nowoczesne rozwiązania architektoniczne. Już dzisiaj tu i ówdzie wystają spod śniegu fundamenty budynków, których budowę rozpoczęto latem i na jesieni. A jak to będzie wszystko wyglądało w niedalekiej przyszłości, można już teraz przekonać się, zwiędzając oddana ostatnio do użytku centralny dom kultury.

Ten dom kultury to wizerunek koczochu „Sowietkaja Bielaruś”. To właśnie on, historia jego budowy, świadczy najbardziej o zmianach społecznych na wsi radzieckiej. Dla samego Bieduli to również namacalny dowód zwycięstwa jego nowatorskich idei.

Kiedy zarząd koczochu podjął decyzję o budowie domu kultury, kiedy już zapewniono odpowiednie sumy, dla Bieduli rozpoczął się okres najcięższy. Jego idea było wzniesienie obiektu najbardziej funkcjonalnego, nowoczesnego, „przyszłościowego”. Należało zerwać z „fasadnością”, do której ludzie już się przyzwyczaili. Innych trzeba było przekonać, że ograniczoność stylu „barokowy” również nie służy ze współczesnym duchem wsi. Styl i charakter obiektu miał być pierwszym stopniem planu Bieduli przekształcenia wsi w miasto, nadawania tradycyjnemu gospodarstwu wiejskiemu kształtu „produkcijnego przedsiębiorstwa rolnego”.

I gdy przewodniczący przekonał kolektyw, kiedy wydawało się, że główną batalię ma już za sobą, wystąpiły nowe trudności: okazało się, że nie istnieją projekty typowe, który by uwzględnił wszystkie założenia Bieduli. W jego wyobraźni dom kultury miał stanowić i główny akcent architektoniczny nowego koczochu i główne miejsce wypoczynkowo-rozrywkowe dla okolicznej ludności, miał posiadać funkcjonalnie zaplanowane pomieszczenia dla różnorodnych celów dydaktycznych. Sala widowiskowa, scena i jej zaplecze winny być przystosowane do występów wiejskich zespołów artystycznych z głównymi ośrodkami kulturalnymi kraju. Zakładano nawet takie rozwiązania sceny, aby mogli się na niej produkować artyści cyrkowi.

W sumie, po wielu dyskusjach, ukształtowała się myśl zamówienia u architektów projektu nietypowego, który w przyszłości stałby się wzorcem dla innych koczochowych domów kultury.

Biedula w poszukiwaniu projektantów jeździł do Moskwy, Rygi i do Kijowa. Aż z Ukrainy sprowadził studentów architektury, siedział z nimi nad proponowanymi mu projektami, wspólnie rozważał — już od strony fachowej — wszystkie „za i przeciw”. Wreszcie wybór padł na młodego, dwudziestoletniego architekta z Brześcia, L. Moskalewicza. Zysk był obustronny. Koczoch otrzymał nowoczesny projekt, odpowiedzialny w pełni ustalony wyznacznikom, zaś sam architekt zyskał sławę i dzisiaj pracuje już w Mińsku, stolicy republiki.

Dom kultury koczochu „Sowietkaja Bielaruś” przypomina ogólnym wyglądem i wystrojem wnętrza nasze dwa najbardziej nowoczesne obiekty tego typu na Lubelszczyźnie: PDK w Chełmie i w Zamoczu. Jest tylko nieco mniejszy. Z podjazdu przez szerokie, szklane drzwi wchodzi się do widnego, przestronnego hallu, z którego woda ścieka w dół, do ogromnej szatni o kilkunastu wieszakach, a stąd do wielkiej antiteatralnej sali kinowo-widowisko-

wej na 320 miejsc. Cała sala dla lepszej akustyki posiada okładzinę drewnianą. Na scenie — system reflektorów i podświetlaczy jak w dużym, nowoczesnym teatrze. Do górnych partii sali widowskiej można wejść także z poziomu na piętrze foyer, spełniającego równocześnie funkcję sali zabaw tanecznych. Wokół głównych pomieszczeń ciągnie się system salek i gabinetów, przeznaczonych dla gości zainteresowanych: część z nich zajmuje szkoła muzyczna, która jeszcze czeka na własny budynek. Będzie on odchodził półkolem od jednej z bocznych ścian domu kultury. Przez szklaną ścianę foyer rozciąga się widok na przyspiany teraz śniegiem plac centralny, na wystające spod śniegu fundamenty przyszłych budowli. Na wiosnę pojawią się tam znów robotnicy.

Biedula chodzi ze mną po domu kultury, gładzi poręcze schodów, sprawdza wyłączniki elektryczne, kładzie pod nos, gdy zauważy, że na ścianie pod sufitem farba się łuszczy, ale zaraz potem uśmiecha się i powiada: cóż, bracie, nawet najpiękniejsza kobieta posiada swoje drobne wady i usterki, a co dopiero dom kultury! Znaczący się, można by powiedzieć jak ta dziewczyna: w zasadzie wszystko u nas gra, „no nie-ocze”. Ale nie to, dopieścimy, gdzie należy — poprawimy.

Taki to jest człowiek Władimir Leontiewicz Biedula. Jedenaście lat temu zrezygnował z dobrej posady w miejskim Komitecie Komsomolu w Brześciu, poprosił o powierzenie mu jakiejś odpowiedzialnej funkcji w jednym z najbardziej zaniedbanych koczochów. Trafił do „Sowietkaja Bielaruś”. Po roku wybrano go na przewodniczącego. Dzisiaj zaliczają go do najlepszych gospodarzy w okolicy. Sam zaś Biedula, z pozoru, na takiego, co go chwala, nie wygląda. Rozsiadając się za stołem wygodnie, kieliszkiem wódki do ciebie przepije, kieliszkiem drożdżowym przekasi i powiada: Tak bracie, jakół tam, już przez jedenaście lat, czototek ten żutek ciągnie.

Mirosław Derecki

GMACH i schody, prowadzące do urzędu, dały wreszcie o sobie znać. Zakłaskiwały blaszki na obcasach pantofelków. Mężczyźni na gumie i mikro gumie sprawowali się ciszej. Pracownicy umywali się w korytarzu jak wyłuskujący wyłusk.

Kioskarz wyjrzał przez okienko, przyklepał stertę gazet. Czytelnicy ustawiali się w kolejce, dawnoni monetami.

Trawka w spranym, jasnobłękitnym kitlu pochylała się nad szcztoką.

— Gorąc, cholera — stęknęła. — Ledwo się trzymam na nogach...

Buda wyłaził ze swej norki, nazwanej szumnie portiernią albo dyżurką.

— Parno dzisiaj... — rzekł, poruszając drewnianą dłoń.

Wylewały się już górne piętra i poddasza. Cała budowla od suterenu po dach, kryty papą, rozbrzmiewała stukotem obuwia.

Wśród oczekujących w hallu zwracał uwagę mężczyzna nie młody i nie stary, chyba bysawy, w ubraniu rodem z domu towarowego, średnio eleganckim. W półmroku trudno było odczytać rysy jego twarzy. Ta twarz to owalna, biała plama, która — jak wszystko tutaj — była taka sobie, zwyczajna. Dużo tych białych plam przewijało się przez hall.

Na kamiennych stopniach, znoszona jakby na barkach następnej fali, ukazała się kobieta nie młoda i nie stara, szczupła, o utlenionych włosach, z torebką, dyndającą na paru rzemykach. Te akcesoria nie wyróżniały się specjalną oryginalnością ani urodą i one były takie sobie jak ziarenka maku podobne do innych ziarenek maku.

Mężczyzna, świecąc łysiną, wysunął się z za filara, szedł jej na przeciw jak burza.

— Uła! — zawołał.

— Mój Jasio... — szepnęła wzruszona.

— Twój — odparł. Pocałował delikatnie w usta. Wziął pod ramię.

Wzrok kobiety płonął, a zmarszczki na czole i w fałdach wymiętych policzków wyrażały radość i zachwyty. W okienku odebrała gazetę, zapłaciła.

— Mam świeże krzyżki... — powiedział do niej kioskarz.

— Nie, dziękuję... — rzekła przytulona do mężczyzny.

— Widział pan? — rzuciła Trawka.

— Mój Boże...

— Ta Kepka jest panną. Piećdziesięciolecie niedawno obchodziła — zaśmiał się.

— Zakonserwowana, zadbaną, owszem. Z szykiem. Chryste Panie, jaka to różowa na głębie, a oczy jak gwiazdy. Kiedyś niebrydka była...

— Odmieniona, słowo daję. Z krzyżkami chyba rozwód wzięła. Zaria to świątostwo, bo się przyzyczaiła jak do palenia papierosów. Nie miała przy sobie chłopca, to miała krzyżki...

— Tera jej to niepotrzebne.

— Jankowiakowa gadała do Tomkowiaka, na własne uszy słyszałem, że za kapitalistów rodzice tej Kepki handlowali perfumami. Kupcy na bocznej ulicy.

— A ojciec Jankowiakowej to kto? Stolarz. Fachowiec od trumien.

— Tomkowiak z bogatych bambrow — rzekł z przekąsem Buda. — Parobkami, sukkinsyn, poganiaci. Tera pogania referentami. Rzetelnie pracują, solidnie, gładzi. On tej Kepki nie lubi...

— Właśnie... przyznała, kłaniając się posiadaczce. Zanurzyła ścierkę w wiadrze z wodą. Chłupnęło ostro.

No i masz, skurat ta Kepka z góry. Kłap, kłap obcasików. Na szpilkach wyższa, twarz szara, pionowe bruzdy ryją czoło. Zbrzydła. Mopsowata trochę.

Na widok mężczyzny, który wypęził z cienia filara, uśmiechnęła się blade, jałowo.

— Kocham cię — rzekł do niej.

— Ja też...

Gdy wyszli z gmachu, lunęło, nie czekali, aż przestanie. Pod wielkim parasolem umykali rażno, skaczac przez kaluże za drzewom, których liście stanowią dodatkową zasłonę dla zakochanych.

— Gołabki... — powiedziała Buda. — Gruchają sobie i gruchają.

— Ta Kepka nigdy nie zajdzie — zawyro-kowała Trawka...

... Mężczyzna wynurzył się z jakiegoś zakamarka i minąwszy filar podbiegł do niej, uścisł ją w milczeniu. Jego ruchy były szybsze niż zwykle, nerwowe. I słowa też szybkie, nerwowe.

— Kochasz? — rzucił popędliwie.

— Tak. Zawsze twoja — powiedziała głośno i wyraźnie. Ona też się śpieszyła. Oboje wyskoczyli z hallu, oboje bardzo się śpieszyli.

do tej Kepki, całował, tulił, obejmował. Po-tem ramię przy ramieniu jak żołnierze, jak grenadierzy. Ona ciągle to wycieranie pod szkłem, porachunki ze szklan. Gdzieś tam sobie poszła.

— Różnie bywa — powiedział Buda, wydając komuś klucze od biura. — Kiedyś świadczyłem na ślubie dwojga starszków...

Trawka poprawiła kitel, odgarnęła włosy z czoła.

— Jankowiakowa gadała do Tomkowiaka, że ostatnio Kepka nie ino popłakuje. Pastyłki bierze, takie żółte pastyleczki, a jak weźmie, to jej się oczy świecą. Tomkowiak też takie brał, gdy go z powiatu za coś tam wyępnęli, ale przestał brać, gdy go z powrotem przyjeśli i przeprosili.

— Albo to ile ma w naszym biurze? — rzuciła znad wiadra Trawka. — Ta Kepka i premię dostaje i na wczasy za pół darmo jeździ i lekarze bezpłatnie ją leczą na reumatyzm...

— Coś się jednak zmieniło — zauważył Buda. — Słyszałem w korytarzu pod sekretariatem, że tej Kepce premii na pierwszego maja nie dali. Jankowiakowa i Tomkowiak gadają, że ta Kepka mniej wydajnie pracuje, bo się kocha i nie ino o ślubie z tym swoim chłopem myśli. Już i sam kierownik się z niej śmieje. Karykaturę z niej zrobili. Obniżyli autorytet...

— Mądrze pan gada — rzekła z szacunkiem Trawka...

... — Ta Kepka głupstwo strzeliła. Z własnej woli próbie o zwolnienie wniosła — powiedział portier.

— Patrzcie, patrzcie! — wykrzyknęła Trawka.

— Honorna... — stwierdził Buda.

— A pewno, że honorna...

— Jankowiakowa to się nawet zbeczała, a Tomkowiak tej Kepce za związkowe pieniądze bukiet goździków kupił. Była kawa i ciastka. Gdy się drzwi za nią zamknęły, to Jankowiakowa zaraz gadała: dzięki panu Bogu, że z naszego kolektywu ubyła historyczka. A Tomkowiak gratulował Jankowiakowej awansu i maszynistki gratulowały, że miłsza jej jest praca dla socjalizmu niż chłop...

Oboje zwrócili się ku piętrom, skąd rozległo się kłap, kłap, ostrożnie, pomalutku, jakby z wahanem na każdym stopniu. To była ona. Ta Kepka.

Zatrzymała się pod filarem, który podple-rał sklepienie, obdarł miejscami z tynku, nie malowane od lat. W zenicie wisiły zakurzone, tonorne lampy, muchy marły w pajęczynach. Raz jeszcze obejrzała się za siebie na schody milczące i puste. Żegnała się z nimi i z filarem.

Ale zanim skierowała się ku wyjściu i ulicy, gdzie stała taxi i przechadzał się nerwowym krokiem ten jej chłop w płaszczu ortalonowym, zanim więc na zawsze opuściła gmach, podobny teraz do wielkiego grobowca, podeszła do Budy i podając mu rękę, rzekła:

— Dziękuję panu za życzliwość.

Schylił się niezgrabnie nad jej dłoń.

— W moje imię przyniósł mi pan na górę kwiaty od człowieka, którego kocham, który jest moim najdroższym mężem. Pięć pasowych róż... Stokrotne dzięki, panie Kazimierzu — dodała ciepło.

Potem podeszła do Trawki.

— Pani też była dla mnie bardzo miła — powiedziała, obejmując ją za szyję.

Kobieta obrzuciła Kepkę przestraszonym wzrokiem.

— Kiedyś postarała się pani dla mnie o krzyżki, których brakło w naszym kiosku... Pamięta pani? — uśmiechnęła się. — Biegła pani jak szalona do apteki na ulicy Ludowej... — ucałowała sprzątaczkę w policzek. — Dziękuję...

Minęła kiosk i gazety, nad którymi czerniał, jakby wyciosany z mahoni, tułów sprzedawcy.

Tamci, Trawka i Buda, podobni byli teraz do maszyny, która nie naoliwiona zepsuła się i zamilkła, a schody i cały ten jakby uspiomy gmach podobny był do zarosłego trawą i zielakiem i skazanego na zagładę młyna — ale tylko pozornie, w istocie rzeczy bowiem gdyby przyłożyło ucho do ściany, do dziurki od klucza, można by usłyszeć charakterystyczne dla przykutych do blurek pracowników brzęczenie rozmów, syk tłumionych śmiechów, dzwonki nieważnych telefonów.

— Takie jak Kepka pomalutko wymierają — rzekł wreszcie portier.

— Ano wymierają... — Trawka wygięła się nad podłogą.

— Może ich nawet szkoda... — dodał po dłuższej chwili.

— A może i szkoda — wytarła hulaśliwie nos.

Ta Kepka

Czesław Michniak



rys. K. Ingłot

— Widziałem — rzekł Buda. — Liżą się jak pieski. Stare to a głupie.

— To ta święta Kepka — powiedziała sprzątaczką.

— Z drugiego piętra. Bo na parterze też pracuje jakaś Kepka... W naszym mieście co drugi obywatel to Kepka — dodał z dezaprobatą.

— A ten typ, kto?

— Albo ja wiem? Brat...

— Ona nie ma brata.

— Mąż?

— Ależ skąd? — zgrzytnął portier. — Ona nikogo nie ma. Sama jak palec.

— Ona ma fioła — oznajmił portier.

Pod kioskiem rząd czytelników kurczył się jak lód, polykany przez słońce, co chwilę ktoś odchodził z gazetą, uszczęśliwiony. Ta Kepka i mężczyzna zagłębili się już w tunelu między domami koloru asfaltu i kubłów na odpady, szumiącym oponami, szybkim i obojętnym. Widać było, jak się ciągali za ręce, przeprowadzali przez jezdnię, krok za krokiem, spacerowo, baczyli, żeby drugiemu włos z głowy nie spadł, wreszcie zatrzymali się uwięzieni pod czerwonym światłem, na skrzyżowaniu.

— Mój Jasio! — spytała przymilnie.

— Tak. Zawsze twój...

— Jankowiakowa gadała do Tomkowiaka — Buda zniżył głos — że Kepka powinna sobie zbadać krew, obe, morfologia, na deser plukanie żołądka. Ula podsluchiwała za drzwiami, poszła zaraz do ubikacji i w bek. Jankowiakowa gadała potem maszynistkom, że Kepkę zabolal brzuch, struła się jakoby makaronem, a maszynistki szu, szu, szu i mrugały ślepiami, bestie...

— Schudła, spódnica wisi na niej, jak na strachu na wróble. Widziałem jak stawała na wadze koło apteki...

— Ma pietra, że gruźlica ją chyci.

— Albo rak.

— Niektórzy zatrzymują Kepkę w korytarzu i z troskliwą miną gadają: Co ci jest? Wtrącają się, chcą wszystko wiedzieć... A Kepka na to: Nic, nic... Mnie to by krew zalała, nos w sos, a ona tylko: Nic, nic... Z uśmiechem na ustach, ale w oczach na płacz jej się zbiera. Delikatna...

Podszedł do telefonu, który nagle zaterkotał, burząc spokój w hallu.

— Sił już nie ma. Piećdziesiąt lat to szmat czasu — rzekła Trawka.

— Pół wieku — zgodził się.

— Taka to i nie donosi, gdyby się porwała na dziecko, wątpię zresztą, czy w ogóle zajdzie... Ja zachodziłam piętnaście razy, ale młodszą byłam, w wojnę kilka razy się psuło, a latos to babką zostalam — powiedziała, demonstrując szczerbę w górnej szczęce.

— Pani Trawka rekordzistka — skinął głową — medal by się pani należał.

— Krzyż pański... Na miejscu tej Kepki nie odważyłabym się zajęć. Jankowiakowa też gada, że Kepka nie powinna zajęć, pytała nawet o zdanie maszynistek, a one chórem, że Kepka za wąska w biodrach, za mało elastyczna. Mężczyźni w śmiech, gończy chichocą, koniec świata...

— Jankowiakowa jest wdową — powiedział po namyśle Buda — i podobno żadnego chłopca przy sobie nie ma. To i do roboty rwie się z kopyta, żeby wolny czas czymkolwiek wypełnić. Awans jej się marzy...

— Czyjś kosztem — rzekła zgryźliwie Trawka.

— No tak... — chrząknął, przekrzywając głowę. Schody znowu zaroiły się urzędnikami.

— Nie tacy oni znowu święci — portier zapalił papierosa. — Ta Kepka to jego czwarta żona, dwie pomarły, a z jedną się rozwiodł. Podobno jakś bufetowej alimenty plał. Szczeniak faceta do ogólniaka chodzi — fuknął.

— Jankowiakowa to nawet wice o tej Kepce opowiada — rzekła Trawka, schylając się nad wiadrem — świąskie wice, wstydę się powtórzyć...

— Sam widziałem — uzupełnił Buda — jak Jankowiakowa przy Tomkowiaku kłuciem w czoło się stukala, żeby niby tej Kepce coś w umyśle brakuje. Przed rokiem pojechała ci ona na wczasy do Zakopanego, gadała Jankowiakowa, i tam chciała się koniecznie wydać za mąż, albo za robotnika, albo inteligenta pracującego, albo za chłopca z PGR-u. Ostatecznie za byle chłopca... Tak jej na zmianie nazwiska i stanu cywilnego zależało. Jeden taki kumpel Tomkowiaka, który też wtedy wczasy w Zakopanem spędzał, gadał, że na własne oczy oglądał, jak Kepka z młodym górnikiem we wrzosach leżała, bez sukni, ino w halce. I nic z tego, żadne małżeństwo nie wyszło!

— No... — poparła go Trawka — Tomkowiak gadał wczoraj do Jankowiakowej, że jej szanse rosną... Pan rozumie, panie Buda?

— A pewnie, że rozumie, taki głupi nie jestem. Jankowiakowa dobrze hara na swój awans. A dla Uli ważniejszy chłop od awansu...

— Przez tego chłopca Kepki — cmoknął Buda — Jankowiakowa dochrapię się stolka i podwyżki. Takie cwaniary z jeżorem mają szczęście — westchnął.

— Z Jankowiakowej dobry polityk — przytaknęła Trawka.

Portier zmarkotniał nagle, spoważniał.

— Tylko mnie nikt awansem nie obdzieli. Do śmierci na półetacie gnill będę... — drewniana ręka zawisła żałośnie w powietrzu.

— Ja tam wołę uczęciwa pracę od chłopca — rzekła Trawka. — Dziś się proszą, żeby pracować, to na skwerze, to w kłozetach. A o chłopca trudno. Dobry chłop na kartki jak za Niemca cukier...

... Pod filarem nie ma nikogo. Podłoga lśniaca i zimna, niczym tafła lodowa. Kosz na śmieci opróżniony, solidna robota Trawki.

Ta Kepka jedna z ostatnich ześlizguje się z pietra, dość chwielna jak wielki kwiat na cienkiej jodydze, jak małwa. Obsasy klaska-ja ślamazarnie, lepią się do schodów. Ręka z chusteczka pod szkło ciemnych okularów. Widać mokry błysk rogówki, zaczerwienionej jak u królika.

Korowód urzędników dziesiątkowany: to tramwaj, to autobus, na plechotę. Rozpierzchlił się na cztery wiatry.

Mężczyzna czekał na ulicy. Oparł się nawet o drzewo. Łysine przykrył kapeluszem. Od razu młodszy, ruchliwy jak żywe srebro, wigor to on ci ma nie byle jaki. Pryskoczył

zawsza muchy

— — — patrzę to lewo

tylko w lewo

W prawą stronę patrzy ONA

Lubiła

Z teki pośmiertnej

Wacław Mrozowski

„Sobie samemu z goryczą”
Józef Czechowicz

Głowę nabita posypuję
żalem pochylę, co jak popiół
z palonych ciał, wonieje nocą
i przypomina stary werset
żem z prochu powstał i w proch się
obróć, wieczny płomień drzewa.

I wiem, użyję chłonna glebę
fosforem kości, krwią zakrzepłą,
że się rozpięsam kielkiem w niebo
nie istniejący już na zawsze
człowiek...

**Bogumiła Krawczyk
Wnukowa**

Wiolonczela

a jednak gubiliśmy uśmiechy na progu —
forte pian rozstrojony ale pobażliwy
lublił dziecinne dłonie pozwalał na wszystko
kławię przykrywano starym aksamitem
żeby dopomóc ciszy —

wiolonczeli w szafie nikt nigdy nie dotykał
stała tam wciąż samotna i zawsze milcząca
drżało w niej echo kołysanki Brahmsa
rozstrzelanej we wrznięciu

po raz dwudziesty piąty spadła kartka
z cyfrą

a dzieci ciągle gubią uśmiechy na progu
bo milczy wiolonczela i portret na ścianie.

Mikołaj

Waldemar Michalski

Widzenie pierusze

Konstrukcje białodrzewne
gorce świnio pasy kobzy
sokół u drzewo szczytu
zielone arrayy

Zyto rzeki czerwona
blady kołowrocie nieba
ślino krowiego pyska
masielniczo dudłaca mleko

O kraju mój zapoznany

Rozmowa

Patrzę w lewo: cisza w lustrze
świszcze w szepcie sęk podłogi
kął wybrzusza usta czarne
cisza lepi się dookoła

Stanisław Goskowski

obraz

portret mojego głodu
wbito na ścianę przestraszonego
spojrzenia i wszyscy mówili
tutaj wisi poeta
na kielbasie
i umiera z głodu
jedynie dlatego
że chciał ocalić
moralność
przed łapani krwiożerczych
dzieci

Gdańsk

Noworoczny remanent

MIESZANE uczucia miotają felietonistę w trakcie retrospektywnego oglądu minionego roku plastyki lubelskiej. Był to bowiem rok pokrętny w swoim biegu, obok zdecydowanej tandety niosący zjawiska wartościowe, a przynajmniej ich zapowiedzi. Mam na myśli nie tylko wystawy, ale i pewne fakty natury organizacyjnej oraz nie odnotowane przez żadną statystykę, prywatnie niejako kontakty w obrębie środowiska. Nikt, znający co nieco specyfikę ruchu artystycznego, nie może tych ostatnich zlekceważyć, choć orderów nie przynoszą i stypendiów twórczych nie dają.

Zacznijmy od ciemniejszych stron lubelskiej plastyki, stwierdzając na wstępie, że liczba niewypałów wystawienniczych, ekspozycyjnych, dezorientujących mniej wyrobioną publiczność, ulegała w stosunku do lat ubiegłych. Niestety, krytyka tego zjawiska długo jeszcze nie zauważa w oczekiwany sposób, przypominając tylko o nieuczynności mechanizmu, na którym obraca się karuzela ZPAP.

Każdy bowiem członek Związku Plastyków ma prawo do publicznej prezentacji efektów swojej roboty. Nawet „użytkowcy”, na ogół kpiąco odnoszący się do poczynań w obrębie sztuki czystej, występują od czasu do czasu z

„malarstwem sztalugowym”, jako że odruchem — przypadkiem i zdawkowo — zapewnia im alibi na wypadek zskaradnego pożądanego o brak zdolności kreacyjnych.

Obok nich jest w ZPAP sporo ludzi, którzy dawno temu, w sprzyjających okolicznościach wyniesieni przez gloryfikowany nadmierne ruch amatorów do rangi samorodnych talentów, spadli w Związek Plastyków. Dystans czasu potwala zauważać tylko jedno: 99 procent tej grupy miłośników przekwalifikowało się na szczerzonych chałturników.

Trzeci rewir wypełniają automatycznie przyjmowani do ZPAP absolwenci wyższych uczelni plastycznych, których o tzw. talent nikt nie pyta. W czwartym rewirze ci, którzy mają coś do powiedzenia w sztuce. Tylko tam.

Exemplifikacji do powyższych wywodów dostarczyły trzy tylko i ostatnie miesiące minionego roku.

Najważniejszym, budzącym najlepsze nadzieje wydarzeniem roku było niewątpliwie otwarcie Galerii „Labyrinth” na Starym Mieście, należącej do Miejskiego Domu Kultury, a gospodarzonej przez „Grupę Lubelską”, skupiającą przynajmniej pięćdziesiąt artystów lubelskich. To nic, że brak aparatury wentylacyjnej zmusił organizatorów do dobrej sprawy do rychłego zaparcia piwnicznych podwoi. Za trzy, cztery miesiące aparatura ta — niezwykle trudna do zdobycia — przyjdzie z radomskiej fabryki „Termowent”, za co dyrektorowi zakładu, który zechciał, choć miał pełne prawo odmówić, przyjąć lubelskie zamówienie — serdeczne dzięki. „Labyrinth”, pozbawiony (skądinąd pożyteczny) powinności na rzecz popularyzacji sztuki, ma szansę stać się forum prezentacji tego wszystkiego, co w sztuce dzisiejszej wiodące i autentyczne.

W repertuarze wystaw wyróżniły się dwie ekspozycje: III Ogólnopolska Wystawa Plastyki „Przeciw Wojnie” oraz Okręgowa Wystawa Grafiki.

Humanistyczne założenia pierwszej z nich doczekały się znakomitej realizacji przede wszyst-

kim w dziale grafiki, wyjątkowo różnorodnej i szczególnie unikającej chęćów banalnych, gestów historycznych. Istotne przy tym, że ta wielka manifestacja artystów, została sprawnie zorganizowana, czego, niestety, nie można było powiedzieć o wystawie poprzedniej, po prawdziwej urzędowej w sposób nieporadny, żeby nie powiedzieć prowincjonalny.

Okręgowa Wystawa Grafiki, pierwsza tego typu na Lubelszczyźnie, zwróciła uwagę głównie jako przejaw wzrastającej aktywności miejscowego środowiska. Z poziomu: prac było nieco gorzej, ale i tak przynajmniej trzy osoby pokazały dzieła daleko więcej niż przeciętne.

Wśród indywidualnych wystaw importowanych czołowe miejsce należy przyznać „Reminiscencjom” Józefa Szajny, wprowadzonym do Lublina przez Biuro Wystaw Artystycznych. Instytucja ta, po dość długim okresie bezpłodnych poczynań, przypominających bezplanową filantropię, z miesiąca na miesiąc przekształcała się w placówkę ekspozycyjno-dydaktyczną, wiele uwagi poświęca edukacji estetycznej „surowych” amatorów plastyki (Uniwersytet Sztuki, galerie w powiatowych domach kultury) oraz zainicjowaniu publiczności lubelskiej z nowymi zjawiskami sztuki krajowej („nowa figuracja” w wydziale Sapety, Szomborskiego i Łazorka oraz „Phantasma” Marzuka i Różycyńskiego). Kto wie, może ten nieżył rok BWA nie skończy się 31 grudnia 1969 r.?

Z plastyków młodszych, niedawno osiadłych w Lublinie, interesująco zapowiedział się grafik i malarz Jan Popek, absolwent warszawskiej ASP.

Reasumując: bez względu na takie czy inne braki i potknięcia, rok ubiegły zarysował przed środowiskiem lubelskim interesujące kierunki dalszego działania, które, chcemy w to wierzyć, mogą doprowadzić do powstania faktycznego ruchu artystycznego w mieście, szczytującym się, że czterdzieści lat temu stanowiło jeden z ośrodków krajowej sztuki nowoczesnej.

IJK

POSTE RESTANTE

Narwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: pozostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, się które — z prawdziwą satysfakcją — wybrałmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Święta gwiazdkowe za nami, Nowy Rok — także! Trzeba by to jakoś zbilansować w dziedzinie szczególnie Polskowi bliskiej. Oto dwie wersje narodowej uciechy, nie tylko kreską świąteczną. Pan H. K. z Warcholów prezentuje w konwencji „małego realizmu” poetyckiego wiersz piła przeciętnego obywatela:

Stracił jedną,
drugą stółkę,
ciężką dółkę.
Pił pieprzówkę,
sam litrowkę.
Mocno wolał,
pieprzenie w główkę.
Tak to było,
tak się piło.
Chłupniem, chłupniem,
no bo uśniem,
Chłupniem, chłupniem
i przytupniem.
No to czy, no to chłup,
prosto w dziób.
Dziś się żyje, dziś się pije.
Jeszcze, bracie, fiaskę kup.
Jutro może leniem w grób.
a więc siup!
Teraz trzeba by dziecięcynkę...

Pan K. P. z Borkowa Starego przedstawia w bardziej unowocześnionej wersji artystycznej ten sam proceder w wykonaniu polskiego „hiplisa”:

kroczy zygakiem
Aleją Wolności
spętany denaturatem
On — pan ulicy
ze wzrokiem tęym
ułożonym w bruku
tępy beznamiętności
albo kto wie
co z niego wyrosło
przeciętnik sił
których nie ma
których nie chce znać
buntownik wszechczasów
ze smokami walczą
pije denaturat
i przeklina władze

Z pewnych względów bardziej nam odpowiada ta pierwsza wersja, aczkolwiek na obie ze wstrętem patrzymy. Z abstynenckim pozdrowieniem zostajemy.

Listy do KAMENY

Z doświadczeń instruktora muzyki

Gra na instrumentach muzycznych — choćby na skrzypcach, fortepianie czy akordeonie — nie tylko utrwala system ruchotno-mięśniowy i dotyk, co jest szczególnie potrzebne przy wykonywaniu niektórych zawodów (chirurg dentysty, precyzyjnego mechanika lub inżyniera), ale jest konieczna dla rozwoju intelektualnego człowieka oraz zapobiegania jego degeneracji duchowej.

Każdy z nas niewądzając różnorodności duchowej, a broniąc się instynktownie przed nią, szuka pewnych dróg, których jakoby lektem jest przeżycie estetyczne. Wydaje się, że najlepszym takim lektem, dającym możność wyścigu emocjonalnym byłoby muzyka. Chodzi więc o to, aby posiadać umiejętność muzykowania. Ale nieupodobne, nie skłonne muzykowanie, szczególnie popularne wśród młodzieży obecnie, stwarza konflikty i nieporozumienia ze starszymi słuchaczami. Często przy takich zbiorowych ćwiczeniach młodzież nadużywa akordeonu, nadmierne pali i pije kawa, co jest z kolei bardzo szkodliwe dla młodych organizmów.

Muzyka pod kierunkiem instruktora jest więc szczególnie wskazana. Stąd też wynika potrzeba zakładowania ognisk muzycznych przy zakładach pracy i szkoleniu ogólnokształcących. Szkoły muzyczne przygotowują do zawodu muzyka, ogniska muzyczne tylko młodym muzykom.

Pełen inżynier powiedział mi, że powinieliśmy uczyć muzyki, bo mu do tego pełnego wykształcenia coś jeszcze brakuje. Jedną z uczennic samorządnych szkół muzyki kłamał, że uczyć się muzyki lub jest jej uczyć się w szkole. Pomysłem — czyżby to nie nauka o środowisku, gdzie muzykę traktowano na równo z matematyką, astronomią i filozofią? Ale różnorodność umiarem. Ze muzyką uczy kombinacji i myślenia, a te cechy mają być wspólnymi z tymi naukami i nauka w szkole.

Zainteresowaniem muzycznym należy kierować. Pamiętam z mojej praktyki, że nie zgodziłem się z propozycją pozostawienia uczennicy (n. pilnej i ambitnej) na uczennicy, że uczyć się „Kraju Melodii” utworu „Lat dwudziestych wiał mój dzień”, która uważała za trudną. Odnawiając się, że tak długo będzie wpatrywała się w nuty i odręczywała je, aż sama tak jak jest to nutach. Po tygodniu zdrzywny byłem jej przygotowaniem i zapamiętaniem.

Oczekując chęć dziecka do nauki gry na wybranym przez niego instrumencie, w minimalnym choćby stopniu, trzeba polecać poprzez słowną in-

Z bocznicy trybuny

Pamiętacie ich?

MIEJSKI Komitet Sportu i Turystyki w Lublinie wybił 360 medali pamiątkowych i przyznał je osobom, które w powojennym ćwierćwieczu miały szczególne zasługi dla naszego miasta w dziedzinie sportu i turystyki. Uroczystość wręczenia odznaczonych odbyła się w sali Teatru im. J. Osterwy.

Narzekamy na nasz sport lubelski, że jest słaby, że w większości dyscyplina zajmujemy końcowe miejsca w Polsce. Lecz prawdą jest też, że w pewnych okresach szczególnie dziedzin miały swoje lata tłuste i lublinianie stawali wtedy w szranki o czołowe miejsca w kraju. Było to rezultatem wyjątkowych wysiłków zawodników i ofiarnej pracy działaczy. Prawdą jest też, że nasza młodzież w całości objęta jest w szkoleniu programem wychowania fizycznego. I choć potem nieliczni tylko trafiają do organizacji sportowych, a jeszcze mniej liczni w nich się wybijają, to jednak sprawności wyniesiona z boiska szkolnego zostaje im na długo. Nic zatem dziwnego, że sporą grupę wśród nagrodzonych stanowili nauczyciele. Przytoczę kilka nazwisk, a na pewno dla wielu osób będą się one wiązały z najmilszymi wspomnieniami z „budy”.

A więc proszę... Marian Lipecki, nauczyciel w szkole nr 9 i kierownik Miejskiego Ośrodka Metodycznego WF dla nauczycieli szkół podstawowych. Dalej: Jan Piechota, który ponad 50 lat pracował w liceach, głównie u „Zamoyskiego” i Aleksander Strycharzewski z liceum im. Staszica (a także kierownik Studium WF na UMCS), dziś już emeryt. Iż meczów stoczyły ze sobą drużyny przez nich kierowane, ileż wzruszeń przeżywały uczniowie obu szkół! Dalej: Rozalia Świechowska z Technikum Gospodarczego, która w swojej szkole rozwinęła na szeroką skalę sport a także i turystykę; Henryk Gerlowski ze Studium WF na WSR, były przez Wojewódzkiego Urzędu Kultury Fizycznej, autor wielu publikacji teoretycznych na temat wf w szkołach średnich i wyższych; Stanisław Leszczyński ze Studium WF na UMCS, który co

zdolniejszego studenta przyciąga też do kierowanego przez siebie Zespołu Pieśni i Tańca UMCS...

Ludzie zebrani w tym dniu w sali teatru mogliby utworzyć żywą historię lubelskiego sportu. Jedni wycofali się dawno, inni działają do dziś, w każdym razie tylko wyjątki przestali zupełnie interesować się sportem. Dr Zbigniew Puchniński, były reprezentant Polski w siatkówce, jest obecnie kierownikiem Wojewódzkiej Poradni Sportowo-Lekarskiej. Doc. Henryk Krackowski i dr Lucjan Piątek wciąż sędziują lekkoatletom i narciarzom. Leszek Rouppert, asystent na Wydziale Prawa UMCS, do niedawna I-ligowy koszykarz, przeszedł do lubelskiego AZS-owci. Antoni Gieraś jest prezesem wczorowego kola TKKF „Sokół”. Henryk Kukier, rycerz polskich ringów, zwany „maszynką do bicia”, który na mistrzostwach Europy w roku 1953, złoty roku polskiego boks, zdobył pierwszy złoty medal, dziś lekko już podatalsiły, ćwiczy młodych pięciolarów. Obok niego medal odebrał Stanisław Zaleski, bokser a potem trener i wieloletni masażysta reprezentacji narodowej i Henryk Krzesiński, jeden z trzech ludzi, którzy podczas okupacji przechowali obraz Matejki, po wojnie, w najlepszym okresie lubelskiego futbolu, prezes LOZPN...

W gronie, a raczej w tłumie przyjmujących medale, znalazły się Bolesława Chodkowska i Helena Ginko, które wprowadziły gimnastykę korekcyjną dla dzieci w ognisku TKKF na ZOR-Zachód.

A oto niektóre inne sylwetki: Jerzy Luba z „Lublinianki”, członek kadry narodowej w podnoszeniu ciężarów; Joanna Nowakowa, była reprezentantka Lubelszczyzny w biegu na 800 m (dziś córka jej idzie w ślady matki); Bolesław Michoń, były długodystansowiec, który, gdy nie starczyło mu już sił na bieganinę, przerzucił się na długie dystanse w chodzie i choć ma już uniki, startuje do dziś; Paweł Zolotow, nestor polskich lotników, latał jeszcze na „Farmanach” i lata obecnie, jest jedynym w Polsce posiadaczem prywatnego samolotu; Janusz Cieślński, wieloletni reprezentant województwa w piłce nożnej, wzór sportowego trybu życia; Wiktor Kramek, który przez wiele lat po wycofaniu się z czynnego uprawiania sportu zapowiadał, że trenuje i jeszcze pobiegnie kiedyś na 5 km; nie pobiegł, trenuje za to młodzież; Tadeusz Patyński, dwukrotny mistrz Polski w ping-pongu; Zdzisław Niedziela, strzelec kosze jak chciał — mówiono o nim, potem jako trener wprowadził „Start” do I ligi — i są szanse, że teraz dokona tego ponownie; Waldemar Bielak, były piłkarz, dziś trener; Waldemar Cechowicz, sędzia i działacz żeglarski i koszykowiec; Stanisław Dzierżak, lekarz i trener koszykowiec zarazem, wprowadził „Lubliniankę” do I ligi; Kazimierz Faryaszewski, zwany „Kajtkiem”, mimo niskiego

wzrostu był naszym najlepszym długodystansowcem — i Tadeusz Hempel, jego konkurent, długonogi, z zawodu inżynier ogrodnik, dziś czołowy hodowca róż w Polsce; Tadeusz Drelich, dziś kierownik Wydziału Gospodarki Wodnej Prez. MRN i prezes chóru „Echo” — przez tyle lat aktywny działacz piłki nożnej; Zbigniew Nestorowicz, zawodnik i działacz szachowy, teraz, mimo szych włosów bierze się za organizację nowego klubu sportowego; Adam Kot, aktualny mistrz Europy głuchoniemych w biegach na 3 i 5 km; Aleksander Luckiewicz, z zawodu nauczyciel, działacz kolarski oraz członek teatru studenckiego „Dren 69”; Józef Madej, „Pan kładz” — jak go zwano, trener piłkarzy „Lublinianki” w latach ich największych sukcesów, dziś właściciel znanej piekarni cukierniczej; Tadeusz Zdanek, były wicemistrz Polski w kolarstwie, znany z uporu i ambicji i Leonard Mański, jego wieloletni konkurent, który wywijał w czasie wyścigów niezliczone ilości wody; Adam Michalewski, sędzia piłkarski, organizator ruchu sportowego w Lublinie w roku 1944, dziś działacz Lubelskiego Klubu Jeździeckiego; Zbigniew Rasiak, wicemistrz młodzieży, wycofał się dopiero po czterdziestce; Stanisław Pajdowski, Henryk Gawarecki i Stefan Wojciechowski — autorzy przewodników po Lublinie. I sym ostatniego, dr Krzysztof Wojciechowski, uczestnik wyprawy jachtowej „Smiałym”; Krzysztof Stec, reprezentant Polski na Wyścig Pokoju 1969; Kazimierz Szczęśliński, organizator nielegalnych spotkań piłkarskich w czasie okupacji, obecnie pracownik kina „Robotnik”; Władysław Lembiez, tenisista, obecnie kierownik Izby Wyróżnień; Tomasz Mąka, podoficer MO, który sam sportu wyuczony nigdy nie uprawiał, ale od lat w czasie imprez sportowych pomaga organizatorom o wiele więcej niż zobowiązany jest do tego służba...

Nie jestem w stanie, z uwagi na szczerpłość miejsca, wyliczyć wszystkich odznaczonych. Zresztą i tak nie objęłoby to nazwisk tych wszystkich, którzy zasłużyli się dla lubelskiego sportu. Komisja przydzielająca medale opracowała też długą listę z nazwiskami osób zasługujących bez najmniejszej wątpliwości na taki medal, a które nie otrzymały go. Medali wybito bowiem 360, a gdyby nawet wybito 500, to i tak wypadłoby po 20 na jeden rok z ćwierćwiecza.

W czasie tej uroczystości Jerzy Pawełowski, przewodniczący WKKFiT otrzymał odznakę Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej. Była to 47 odznaka — od czasu ustanowienia jej — wręczona mieszkancom Lublina. 23 osoby z naszego miasta posiadają tytuły Zasłużony Działacz Turystyki. 20 osób za swą działalność na polu wf otrzymało odznaki Zasłużony dla Miasta Lublina, dostały je też RKS „Motor” i Oddział Miejski PTTK.

RW

PROF. Witold Doroszewski w przedmowie do swojego wspólnego dzieła, jakim jest „Kultura słowa” podkreśla, że w każdej dziedzinie życia należy się opierać na wartościach pozytywnych, a nie negatywnych, należy więcej dbać o to, by krzewić dobro, niż o to, by łepić złe. Sądzę, że również te dewize przyjął autor nowo wydanej książki „Gramatyka na wesoło” Witold Gawdzik.

Wiadomo, że gramatyka już prawie tradycyjnie należy w szkołach do przedmiotów mniej lubianych przez uczniów i — niestety — również przez nauczycieli. Ci pierwsi wzdrygają się przed regułami gramatycznymi, bo ich nie rozumieją i muszą się ich uczyć, a ci drudzy, bo ich często też nie rozumieją, a muszą uczyć innych. Skryżowanie paradoksu. W rzeczywistości nie jest tak źle. Gramatyka jest przedmiotem ciekawym, przecież wyjaśnienia niby są wile reguły języka i ułatwia ich stosowanie, jest kluczem do ducha języka polskiego. A tylko bez znajomości tego ducha użytkownicy języka dopuszczają się takich przestępstw jak stosowanie form-dzwonków w postaci np. przedpieniomowa, w dopełniaczu Biesiad zamiesz Biesiadów, czy niewłaściwe akcentowanie czasowników w czasie przeszłym na sylabie przedostatniej (byliśmy zamiast byliśmy) itp.

Oczywiście nieraz czołwiek znajduje się w rozterce wobec różnych propozycji, jakie wysuwają gramatycy. Zasady Jodłowskiego i Tazycykiego np. dopelniać liczby mnogiej pomarańczy rozstrzyga na korzyść pomarańcz, natomiast Gertnera et consortes proponują raczej formę pomarańczy. Autor „Gramatyki na wesoło” wnioskując więc, że obie formy są dopuszczalne, ale nie przyjmuje ich na ślepo. Śnując

czasownikowych wymieniły takie wyrazy jak żać w znaczeniu wyściska, które się odmienia: żnę, żmiesz, żma, a w czasie przeszłym: żał, żeli oraz żać w znaczeniu ciąć np. sierpem: żnę, żniesz i żał itp. Autor, będąc wieloletnim dydaktykiem i pedagogiem, niektóre zasady gramatyczne stara się ująć w wierszyki łatwe do zapamiętania. Co w rodzaju reguł łacińskich, które wkuwano starsze po-

Gramatyka na wesoło

kolennie stosując metody ułatwiające typy: nie, haec, hoc, Zyd Żydówkę w bok. Pisząc o rzeczownikach kończących się na -rz proponuje wierszyk do zapamiętania:

Jeśli chcesz uniknąć kłeski,
Jeśli rady dobrej szukasz,
Pamiętaj: rzeczownikowski
Naz -arz, -arz, np. drukarz,
Kniarz, żołnierz, sędziarz, kalendarsz —
Przez rz pisać. Zapamiętaj!
Lecz wyjątki są, uwaga,
Bo niechcący dwójkę słapiasz! (...)

Witold Gawdzik, autor wielu skrzętych dowcipem frazerek i pomysłowych

bajek, w swojej książce wykorzystuje również doświadczenie i talent frazko-pisarza, i chyba głównie te właściwości i walory zdecydowały, że jego Gramatyka jest na wesoło. W przedmowie do książki, pięknie ilustrowanej dowcipnymi rysunkami Jerzego Płaska, pisze, że człowiek pod wieloma względami zasłużył sobie na „ślano listy powierzonej”. „Nauczy się być jak łazik i natychmiast jest gotów wpaść pod koła lub płacić mandaty za nieprawidłowe przechodzenie jezdni. (...) Podobnie jest z nauką ojczystego (oj, czytajcie!) języka. Tyle tylko, że nieudolność w tej dziedzinie nie wystawia nas na ogół na żadne ryzyko poza niebezpieczeństwem... ośmieszenia się”.

Lublinianie mają jeszcze jeden powód do dumy z uwagi na ten nowy tytuł Witolda Gawdzika. Autor jest związany z Lublinem. Tu bowiem studiował polonistykę, tu rozwinął swój talent frazko-pisarza, tu na uniwersytecie, który ukończył w roku 1954-4, położył swoje umiowanie ojczystego języka. Madra i w oryginalny sposób ucząc gramatyki książka Gawdzika powinna zainteresować nie tylko polonistów, nie tylko uczniów, ale wszystkich, którym piękno naszego języka leży na sercu.

Al. Leszek Gzella

Witold Gawdzik (Profesor Pracownik) — Gramatyka na wesoło, Instytut Wydawniczy Pax, 1968.

Uśmiechy lat

UŚMIECHY lat minionych" Mieczysława Fijałkowskiego za myka zdanie: Myśl napisania niniejszych wspomnień zadziwiająca pana W. Chelmińskiemu, znawcy literatury i sztuki, autorowi „Miłości i wojny” (w której laury zbierał niezapomniany M. Maszyński), oraz „Wroga w domu” granego w Reducie Lubelskiej. Ten szlachetny gest piarskiej powieści dla zmarłego niedawno lubelskiego pisarza w książce znajduje się w Reducie Lubelskiej i Fijałkowskiego łączyła przyjaźń i wspólna ława gimnazjalna, a potem wspólnie częściowo odbywane studia, przez Fijałkowskiego — rolnicze. Skąd więc później wzięła się literatura? Działalność rolnictwa i literatury może dziwić, ale przecież dla dawniejszych pisarzy to połączenie wzorcowe — od Reja do Sewera-Maciejowskiego. Dziś taki status przysługuje już tylko pisarzom ludowym, a i to nie wszystkim.

Wspólnie zapoczątkowany przez Chelmińskiego i Fijałkowskiego los układał się później podobnie. Tyle że pierwszy po debiucie dramaturgicznym na deskach Reduty zamilił na wiele lat, gospodarząc w rodzinnym majątku na Podlasiu, drugi zaś — prócz stałego administrowania ziemiankimi dobrami — pisywał równocześnie wzięte komedie i należał do czynniejszych komediopisarzy okresu międzywojennego. Stąd też świat teatralny — aktorzy, dyrektorzy i reżyserzy — nieraz goszczą na kartach wspomnień Fijałkowskiego.

W „Uśmiechach lat minionych” autor opowiedział koleje swego życia — od dzieciństwa, które upłynęło mu w Górach Świętokrzyskich — do wzięcia hitlerowskiego; zamyka je moment wyzwolenia.

W tej ramie czasowej zamknął się obraz niezwykle bogaty i urozmaicony. Wypełniają go portrety kolegów, profesorów, polityków (Fijałkowski był przed wojną posłem do Sejmu), artystów i pisarzy. Ci ostatni zajmują najwięcej miejsca, oni reprezentują sprawy najbliższe sercu autora. Fijałkowski dał w swej książce pokaz dużych umiejętności naracyjnych i zmysłu obserwacyjnego. Oba te dary pozwoliły autorowi stworzyć doskonałą gawędę, w której sprawy ważne przeplatają się z błażymi, powaga miesza się z humorem, tragedia sąsiaduje z farsą. Barwne, niecodzienne sytuacje, ciekawi ludzie, oryginalni zabłąkani w wiek dwudziesty, pyszne anegdoty — to dodaje książce uroku.

Podaje mi się oczywiście i czytelnik książki. Ale ma on też czas i okazję do zastanowienia i rozmyślań o przeszłości niedalekiej, a tak odległej i zglądzonej ostatecznie. Wobec swoich bohaterów i ich otoczenia autor zajmuje stanowisko raczej pobłażliwe i choć czasem wypowiada uwagi krytyczne, opinie cierpkie, skłonny jest wiele wybaczyć i usprawiedliwić. Nawet jednak ten umiarkowany krytycyzm Fijałkowskiego zasługuje na szacunek, tym bardziej, że towarzyszy mu konsekwentna postawa autora, który cenil przede wszystkim pracę i uczciwość człowieka bez względu na jego urodzenie. Dzisiejszy czytelnik patrzy na tamten świat innymi oczami, z odmiennej perspektywy, toteż mniej będzie skłonny do tolerancji i nie będzie poddawał się argumentacji usprawiedliwiającej pasywność w dużej mierze sposób życia przedwojennego ziemianstwa. Ale może dlatego książka Fijałkowskiego nauczy go wiele, pozwoli spojrzeć na niedawną historię od jeszcze jednej strony, dostarczy jeszcze jednego świadectwa.

Przyznam się jednak, że mnie najwięcej zajęły opowiedziane w pamiętniku sprawy artystyczno-literackie, a więc przebiegu kariery piarskiej autora i środowisk, w jakich się obracał. Z tego powodu za najciekawszą i najcenniejszą uważam część książki, poświęconą Władysławowi Siewińskiemu — wujowi Fijałkowskiego. Poświęcił on temu wybitnemu malarzowi kilkadziesiąt kart świetnej opowieści, w której zawiera się materiał na scenariusz sensacyjnego filmu, albo pasjonującą biografie o nieprzeciętnym człowieku, co to przełaził cały majątek, stracił wszystko, by następnie wszystko odzyskać — w sztuce. Fijałkowski otworzył tu duże zasoby pamięci rodzinnej i chyba za ten gest miłośnicy sztuki będą mu bardzo wdzięczni.

Zaletą książki Fijałkowskiego jest jej pogoda i mądrość, wypływające jako wnioski z doświadczeń autora. Jego postawa zawiera się w tytule książki. Uśmiech poety nie jako zewnętrzny; jednorazowy gest, ale jako sposób zachowania się i postępowania w życiu. On przesądza o optymizmie książki, daje przekonanie, że po nocy nastąpi dzień, a po złym przyjdzie dobre. Postawę tę łączył trzeba z bliskim przez całe życie związkiem autora z ziemią, z jej wszystkimi rytмами i to pozwalało mu być w zgodzie ze światem, przyjmować go w całym bogactwie i urodzie. Przejmowałem w sobie — czytamy w jednym miejscu — cztery pory roku: narodzin wiosny, rozkwit lata, zamieranie jesieni — by znów po przetrwaniu zimy odradzać się z nowym liściem na drzewie. Czulem się wrośniętym w ziemię i w społeczność, która otaczała mnie, a przede mną jak w kalejdoskopie przesuwał się korowód ludzi i wydarzeń.

Tadeusz Klak

Mieczysław Fijałkowski: Uśmiechy lat minionych. Wyd. 2. Katowice 1969. Wydawnictwo „Śląsk”.

Krzyżówka nr 2

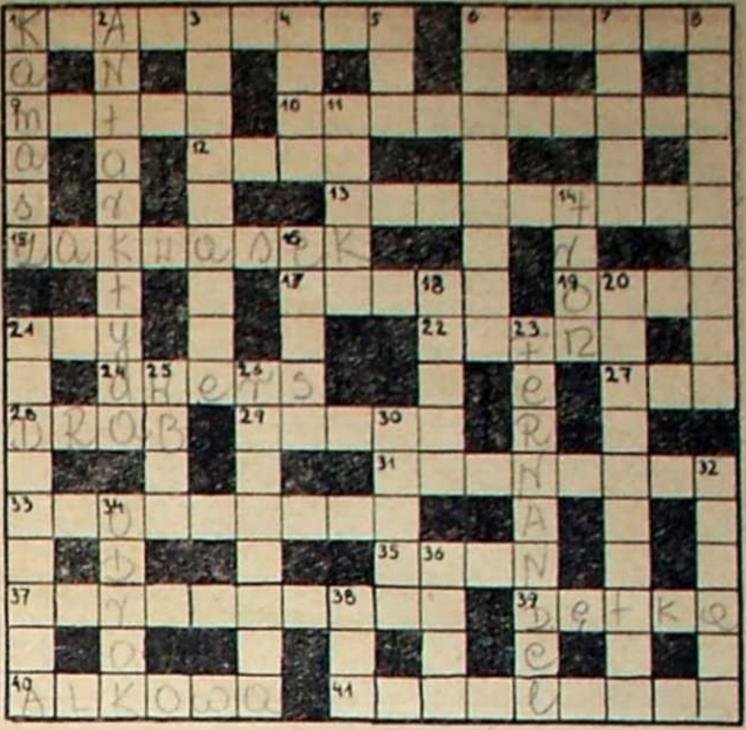
POZIOMO: 1. wieś w powiecie przemyskim, ze słynnym zamkiem renesansowym, 6. znany poeta francuski zmarły w 1902 roku, 7. podlubiński pęczak przed 18. zmarły w 1966 roku pisarz i publicysta polski, 8. redaktor wileńskiego „Słowa”, 12. dąbki w Europie od Azji, 13. łączenie teorii z różnymi systemami, 15. ciasto z poprzedniego wypieku, używane zamiast drożdży, 17. miasto górnicze w północnej Francji, 19. duży port w Algierii, 21. nazwa 13 lub 15 dnia miesiąca w kalendarzu rzymskim, 22. nimfa zamieniona przez Zeusa w drzewo laurowe, 24. dwie strony, 27. angielskie forte pivo, 28. rosyjski mężczyzna, 29. filozof z Rotterdamu, 31. stolica Paragwaju, 33. słowo lub zwrot nowo powstałe, 35. jednostka administracyjna w USA, 37. pracownik kolejowy ustawiający rozjazdy, 38. pod opona, 40. mały pokój bez okna, 42. grupa Węgrów w pn.-wch. Siedmiogrodzie.

PIONOWO: 1. but z krótką cholewką, 2. obszar polarny i subpolarny na półkuli południowej, 3. aparat wylęgowy, 4. ostra w tym roku, 5. pora doby, 6. zaraza, 7. związki organiczne, wywodzące się z kwasów przez zastąpienie grupy OH grupą NH, 8. lekkie spanie, 11. opera Rachmaninowa, 14. królewski fotel, 16. imię autora „Złotego Zuka”, 18. drugi prezydent USA, 20. ten, który wprowadza coś w czyn, 21. państwo na wielu wyspach, 23. słynny francuski aktor komediowy, 25. biblijny denar, 26. nauka o pochodzeniu bóstw i mitów, 30. miękka skórka, 32. słodycze z miodu i orzechów, 34. pasza dla konia, 36. przepływa przez Newcastle, 38. C z krzyżkiem.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 14: Piętnaście lat temu zmarła Zofia Nalkowska. Utwory: „Dom Kobiet”, „Granica”, „Książki”, „Medallony”, „Węzy życia”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 15: Poziomo: świstak, Sofokles, Imbir, a-noda, twór, aktor, Nora, Styr, aria, naganka, odlew, Alaska, Karlsruhe, eskalibr, kwasek, Troki, sztanga, ogar, nuta, Gobi, akant, snop, zawór, marsz, Szantary, antalek.



Pionowo: śpiewnik, izba, tort, kwarta, skowronek, flanela, lewar, strzala, lakra, trawa, Oskar, garda, ełki, szron, ster, Hemingway, krzak, Stańczyk, Knossos, strop, kolizja, starka, Anna, agora, tama, trał.

Nagrody otrzymują:
Za rozwiązanie krzyżówki nr 14:
Adam Kędziorek, Polanica-Zdrój, ul. Zdrojowa 37
Marek Wróblewski, Zamość, ul. Staszica 24/a

Zbigniew Dubert Zielona Góra, ul. Jaśkiewicza 11/1
Andrzej Piwoarczyk, Chelm Lub. ul. Zeromskiego 3
Za rozwiązanie krzyżówki nr 15:
Kryszyna Załuska, Lublin, Ogrodowa 15a
Stefan Kulmaga, Lublin, ul. Falata 1/1
Jerzy Budiko, Kielce, Głowackiego 5 m. 1
Stanisław Kwicień, Zabłocie, poczta Chłaniów, pow. Krasnostaw

Kryszyna Mokówka Identyfikacje

Sobota jest sobotą — a do kina należy chodzić częściej. Tak postanowiliśmy (zgodnie) i wybraliśmy się na nocny seans. Niestety — już w połowie wszystko u nas się zbudowało. Oczywiście, wytrwałymy do końca w próbie identyfikacji, ale rozmiary okazały się ponad nasz utęk.

Zapytałam o coś. Nie odpowiedział, ale uśmiechnął się, że wyglądał tak, jakby wstąpił garnitur ze starszego brata. No dodatek zauważyłam u ciebie odstawiające uszy, zacerzoniony nos i sterczące włosy na czubku głowy.

— Może jesteś chory — spytałam

przezornie. W odpowiedzi pokazał mi własne odbicie w szybce okiennej. Rozśmiałam się.

Oboje byliśmy niestęchanie śmiešní w tych zbyt obszernych ubraniach: ja — cęty satyni i starzy. Minęła nas kilka osób, ale tylko jedna miała dla nas współczucie.

— Ta dziewczyna siedziała obok nas — powiedziałaś gośno, a ja cicho pomyślałam, że wszystkie próby zrozumienia innych wygładzą tak samo...

Poprosiłam o łgę i nałęczki. Był zaskoczony, ale szybko zrozumiał, o co chodzi.

Najgorzej było z centymetrem. Pół miasta objechaliśmy zanim kupiliśmy go w jakiejś zawiłej i ciemnej uliczce.

Dzisiaj Sobota jest sobotą — a do kina należy chodzić częściej, tylko nie można bezkrytycznie nosić cudzych rzeczy.

Spotkanie z ciszą

Cisza jest przyjacielem. Mieszka gdzieś w kącie, między doniczkami i wydyma firankę. Tylko ja wiem, że to nie wiatr, że to ona mnie woła. Wtedy rzucam podłże, farbę i biegnęmy łowić żaby na zielone laki. Dzisiaj — zamiast żab i tataraków — złowiliśmy teczę. Była ogromna, ciepła, pachnąca majowym deszczem. Pomyślałam o swoim pokoju. Jest taki pusty i zimny. Mogłabym przecież zsterilizować go w oknie, zamiaszt firankę! Wtedy byłoby inaczej, ale jak zabrać teczę — jeśli pokój jest mały.

KSIĄŻKI NADESLANE

„CZYTELNIK” — WARSZAWA 1969

ALINA I CZESŁAW CENTKIEWICZOWIE, CZŁOWIEK O KRÓLEGU UPOMINIAŁO SIĘ MORZE. Drugie wydanie zbeletryzowanego życiorysu wielkiego badacza Północy, Roalda Amundsena. Niezwykle popularni autorzy powieści podróżniczych pokazali tu Wielką Przygodę, eksponując równocześnie także nieprzemijającą wartość ludzkie, jak silna wola, wielkoduszność i bohaterstwo. Cena zł 28.

BOHDAN CZESZKO, OPOWIADANIA WYBRANE. Wydana w serii kieszonkowej druga edycja noweli i opowiadań znanego pisarza. Naczelnym motywem tych tekstów jest wierność człowiekowi — samemu sobie oraz wartościom porzytywnie sprawdzonym przez rzeczywistość obiektywną. Cena zł 10.

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ, NAUCZYCIELE. Czwarte już wydanie powieści, która przedstawia środowisko

nauczycieli w małym miasteczku w okresie międzywojennym. Cena zł 20.

JERZY PUTRAMENT, PÓŁ WIEKU (MŁODOŚĆ, WOJNA, ZAGRANICĄ). Wznowienie znanych wspomnień popularnego pisarza. Bilans doświadczeń życiowych i literackich autora. Bogata warstwa faktograficzna, zdjęcia dokumentalne. Cena III zł 15.

KONSTANTY ILDEFONS GALCZYŃSKI, POEZJE. Kolejne wznowienie wyboru wierszy poety, którego to wyboru dokonała Natalia Galczyńska. Cena zł 24.

LUCYNA KRZEMIEŃSKA, SŁOMKOWY ŁANCUSZEK. Siódme wydanie popularnej książki dla dzieci. Bogata szata graficzna autorstwa J. Grablińskiego. Cena zł 20.

HALINA KOSZUŁKA, PSIA SŁUŻBA. Kolejne wznowienie książki dla młodzieży. Autorka opowiada autentyczne historie związane z trudną i potrzebną człowiekowi rolą psów podczas działań ostatniej wojny, a szczególnie w bojach i Armii. Cena zł 6.

Spotkania „Kamery”

Red. Mirosław Derecki spotkał się ze środowiskiem młodzieżowym w Klubie ZMS przy Zakładach Energetycznych w Lublinie, Klubie Robotniczym przy LPBM oraz w Klubie „Drogowców” przy Ekspozyturze PKS w Lublinie. Mówił o współczesnym młodzieży na Zachodzie.

Red. Jerzy Dostanił na spotkaniach w klubach w Gutanowie (pow. puławski) i w Białobrzegach (pow. zamojski) mówił o problemach gospodarczych Lubelszczyzny, zaś — wspólnie z red. Maciejem Podgórskim — w VII Liceum Ogólnokształcącym przedstawił lubelskie środowisko literackie w ostatnim ćwierćwieczu.

Red. Marek A. Jaworski spotkał się z młodzieżą Liceum im. Unii Lubelskiej, opowiadał o historii powstania „Kamery” i dniu dzisiejszym pisma.

Red. Romuald Wiśniewski przedstawił problemy Polonii na spotkaniach w klubach w Nielewici i Czerniejnie (pow. hrubieszowski) w klubie Pracowników Służby Zdrowia przy szpitalu w Hrubieszowie, na spotkaniu z aktywnym ZMW pow. hrubieszowski i na spotkaniu z młodzieżą (stratunowa w WSS Lublin) w kawiarni „Malinowa” w Lublinie. W Klubie w Łęcznej (pow. lubelski) — wspólnie z red. Józefem Lisem ze „Sztandaru Ludu” — mówił o problemach kulturalnych małych miasteczek położonych w pobliżu dużych ośrodków miejskich.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTANI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelnik), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, HENRYK J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udziela placówka pocztowa i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i szerszego sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin. Al. Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 23-93, sekretarz redakcji i dział publikacyjny 23-33

Korespondencja swytkła prosimy kierować pod adresem Lublin i skrytka pocztowa 131; polecony i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZ Graf. Zam. 4300. 29.XII.69. 2.800. 2-4.

wencje — opozycjonując początkującym a małoletnim bajki muzyczne, dostosowując do tego opozycjonując i znane melodie muzyczne. Działalność w ramach zespołu dydaktycznego. Interesować się wypowiedziami dziecka nie zawsze związanymi z muzyką, starając się o porządek jego sympatii, oraz pomagać mu w rozstrzygnięciu trudności muzycznych.

Często rodzice przemęczonym dzieckom przerywają naukę muzyki, aby je mniej obciążać wobec nauki obowiązkowej w szkole. Nie zawsze to jest słuszne w stosunku do chętnych i zainteresowanych muzyką dzieci. Niezależnie od lekarza zalecają ją jako terapię, szczególnie dzieciom nerwowym. Często słyszałem wypowiedzi rodziców, że nie chcą sobie by ich dzieci zastąpiły kiedyś mistrzami muzyki, ale pragną by mogli poradzić sobie z nutami i łatwymi melodiami, a to im wystarczy.

Ambicje ucznia 3-4. Językowi obcych, zajęcia pozaszkolne, świetlicie i kółka zainteresowań — te zajęcia mają swój główny udział w kształtowaniu młodego człowieka. Zatem program nauczania muzyki, oczywiście w oparciu o podręczniki muzyczne szkolne, nie musi być tak ścisły i wyuczający jak w szkołach muzycznych.

Przy odpowiednim nastawieniu rodziców nauka muzyki może stać się tak samo niezbędna, jak nauka w szkole.

Antoni Kołodziejczyk
Lublin

Mroki Przemysła

Straszne dzieła się tu rzeczy po opublikowaniu poprzedniej korespondencji na temat zmieniających się u nas nie-możono — szon turystyczny nazw starych ić oraz plagi walejących się pijskich, ale to wcale nie zmienia faktu, że np. znikała ze środowiska jeszcze jedna tablica ze słowami: „Kamery”

Jedni przyklejają cyfry i napisy maskomazów turystyczno-ujętych, tani obywateli wysłać urządzone zaprzeczenie czy też sprzeczności. Nie wiem, jak będzie, ale to wcale nie zmienia faktu, że np. znikała ze środowiska jeszcze jedna tablica ze słowami: „Kamery”

ściągnięto inną tablicę: Rymek Główny. A co za pomysł, żeby nowo wznoszone dzienne otrzymywały tradycyjne nazwy, jak np. Kochanowski, Krasińskiego, zaś ze środowiska rugowane dawne historyczne imiona własne ulie i placów, nadszję im nosce, chociaż imię nazwy „historyczne” w rzeczywistości w krajobraz i wyryły się na stałe w pamięci i sercach wiekzności mieszkan-ów? Także żadne wyjaśnienia papierkowe nie wypróżniają chropowatych i chromatycznych brudów przemyskich, o ile nie uczynią tego wreszcie fachowe ręce...

O niektórych rzeczach trzeba woleć czasem i po dwa razy. Powróć jeszcze jednym zdaniem do... wody, którą sprzedają tutaj w piątek i świątek oraz w inne dni parzyste i nieparzyste, a amatorzy tej tak łatwo zdobywanej tutaj „ognistej wody” wygładzają się po ulicach i obryzują życie spokojnym obywatelom. Tak, knajp w Przemyslu nie brakuje. Jeśliby znośność prowincjonalnych miast obliczać według liczby zarejestrowanych knajp i barów, to moje miasto wypłynęłoby się w takiej tabeli statystycznej bodajże na pierwszą miejscę!

A w mieście o każdej porze roku brudno. Nie tak dawno turysta, jakich doceniali, wymalował ukradkiem na ścianie pewnej przemyskiej kamienicy kubek przechylony, z którego widać wypływała woda i dół i płynęła sobie po maziolotnych zamazanych na tym surrealistycznym widoczka schodach cież jakak. Wykalkulowany pod malowidłem napis głosił: „W której tylko spojrzysz stronę... wszystko w tym mieście brudne i zaśmiecone!” Przechodnie przystawali, oglądali i kłusując głowami popstęzali dalej za swoimi sprawami. Aby napis ten nie drażnił, to go zamalowano. Nic się jednak nie zmieniło.

W pesymnym budynku, dużym obiekcie kulturalnym, nie zatoczono śpiewy zło-tych na krzyżakie strony... Ale za brud, śmiecie i nieraz za dnia spacerują szczyry, to jakos tym zajmującym się kulturą lokatorom wcale nie przeszkadza.

Stefan Czejkowski
Przemysł

„O studentach i mieście”

W 23 (430) numerze „Kamery” ukazała się notatka Maurycjusza Palczowskiego, mówiąca o współczesnej polidziei studentkiej, jej kłopotach i bolączkach eo-

dziennego dnia. Ponieważ i mnie dane było zostać studentem, pragnę do artykułu „O studentach i mieście” dorzucić kilka słów, bądź też polemizować z autorem, chociaż ja postaram się przedstawić środowisko studentów Warszawy, gdyż jestem studentem Uniwersytetu Warszawskiego.

Rezerwuistka, sprawa spędzenia wolnego czasu przez studentów jest coraz bardziej niepokojąca. Większość studentów to młodzież pochodzenia chłopskiego i robotniczego, gdzie dochody rodziców nie pozwalają na przeznaczanie dla syna lub córki studiującej dużej sumy pieniędzy na zabawę, kawę czy kino. Rodzice ci oddaliby ostatni grosz na podręczniki, naukę. Ale na rozrywkę? O nie... — „Po co im to, niech się uczą, to dla nich podstawowe i jedyne zajęcie”. Zazdrości więc student swemu kolegowi, który pracuje ma własne pieniądze i może sobie pozwolić na rozrywkę. I biedny student marzy! — „Jak skończy studia, to dopiero będę miał życie, będę niezależny, będę miał własne pieniądze”. Był tylko wytrwać. Już niedługo... A gdy tereszenie to „niedługo” nadszodzi, rozczarowany „przecielniak” ze stopniem magistra studerzja z zalem, że jego rówieśnik technik przed pięcioma laty zarabiał i sole więcej, niż on z dyplomem wyższej uczelni. I znów wzięcie końca z końcem, chciałoby się rzec za Dantemem: „walka o byt”.

Alle powiedzą inni (podkreślmy to zresztą i pan Patwoda), że uczymy się nie dla pieniędzy, że zwyciężać chcą zdobyć wiedzę itd., itd. Zgoda. Lecz czy rzeczywistość tak dużo studentów uczy się wcale tylko dlatego, żeby coś wiedzieć? Czy nie myśli się o pozycji, kulturalnym życiu i wreszcie o zarobkach?

Wróćmy jednak do naszego studenta, który za 20 zł chce mieć i kulturalnie spędzić sobotni wieczór. Na bilet do teatru mu nie starcza, na kino nie ma ochoty (graja zmirne, na ciekawych porządkach już byt). Pozostaje kawiarzka: małe ciastko, papierosy, kawa — powinno wystarczyć. Gdy jednak posiadzi dłużej w lokalu, czuje wstręt do tego rodzaju spędzania wolnego czasu. Na lokal i kłopotowi studenta nie stać, atmosfera innych lokali ma się dopiero dać. Cóż ma robić? Czy rzeczywistość nie ma możliwości kulturalnie spędzić wolnego czasu? Ma. W specjalnie dla młodzieży przygotowanych klubach, gdzie naprawde za grosze można upić herbaczą czy kawę, przyjemnie podyskuto-

wać, pograć to szachy lub brydla. A przede wszystkim nie narzuca się na złośliwe uwagi pijskich, nie wchłaniać operów alkoholów. To dużo. Ale takich klubów-kawiarni jest wciąż jeszcze za mało. Nawet w Warszawie można tego rodzaju placówki wyłożyć na palcach, stąd też ciężki tłok i brak miejsc. A przecież wystarcząby tylko trochę inicjatywy — może władz organizacji młodzieżowych, by obkarym lokal zamienić w cichy i naprawde młodzieżowy zakątek, gdzie można obejrzeć telewizję, podyskutować, upić kawę...

Ze sprawą spędzenia wolnego czasu uczy się, jak już wyżej wspominałem, uposażenie studentów. Większość na rozrywkę nie dostaje nic, inni trochę (zalety od dochodu rodziców). Oczywiście nie mówię o mielnicznych, którzy mają pieniądze na wszystkie swe wydatki. Muszą tece studenci dorabiać. Chybiąją się różnych zajęć: bawiać dzieci, myją tramwaje. Najczęściej starają się udzielić korepetycji, chociaż i to nie zawsze wychodzi, bo np. studentem wydziałów humanistycznych nielalco jest zdobyć korepetycję.

Autor „O studentach i mieście” wspomina o tym, że obecnie studenci utracili-uste nie wyróżniają się z groma młodzie-ly. I słusznie. Są przecież tylko ludźmi, czym się więc mają wyróżniać? Zachow-ownem? Ekstrawagancją? Mit o społec-tylm beztraskim życiu studentów dawno już został obalony. Student niejednokrot-ownie jest bardziej „zapracowany”, niż pracujący „śmietanki”, jeśli chce wytrwać, musi systematycznie i dużo się uczyć.

Autor studerzja jeszcze jeden słuszny fakt: student niekiedy teatru. Rzeczy-wiście. Każdy woli być dwa, trzy razy do kina, niż raz do teatru. Chociaż jest-stem wielkim miłośnikiem teatru, coraz częściej dostrzegam, że studenci unikają teatru, wybierając film. Jest to zresztą zjawisko u młodzieży dość powszechne. Czy i to jednak nie spowodowało się do braku pieniędzy? Wydaje mi się, że tak. A zatem co czynić? Namawiać, zachęca-ć, pomagać przy kupnie ulgowych biletów. Dlaczego np. student nie może in-dywidualnie dostać ulgowego biletu? Czy student musi chodzić do teatru tylko zespołowo? A zespołowo chodzi się zwykle tylko na „arcydzieła”, które du-żo wcześniej student sam obejrzał.

Serdecznie redakcję pozdrawiam

Andrzej Kazarzewski
Warszawa

